№ 20 Warszawa, dnia 2 (14 Maja) roku 1881

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we WOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50 —w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

TREŚĆ: Bohaterki Kalidasa i bohaterki Szekspira. — Wanda. — Prusacy w Frankfurcie. — Przyszłej artystce.— Korespondencya. — Trzy miesiące w Chorwacyi. — Z kraju i z zagranicy. W Dodatku: Historya pewnej Paryżanki, przez Oktawiusza Feuillet, przekład J. Belejowskiej. — Pełnoletność panny Bridot, przez Karola Deslys przekład K. P.

Bohaterki Kalidasa i Bohaterki Szekspira.

(Dalszy ciąg).

Drugi utwór dramatyczny Kalidasy: „*Urwasi*” stanowi najzupełniejszą sprzeczność z „Sakuntalą”. Sakuntala jest jakby uosobieniem obowiązku i cnót niewieścich, Urwasi przeciwnie jest to nimfa dziwaczna i kapryśna, zmienna sylfida, wzlatująca do nieba aby zachwycać bogów, lub zstępująca na ziemię aby porywać serca śmiertelnych. Śliczną i urokliwą jest ta Urwasi, córka starego samotnika, wyziębionego umartwieniami i rozważaniem ksiąg Vedy. Co prawda, jej przyjście na świat miało miejsce wśród niezwykłych okoliczności. Trudno wyobrazić sobie surowość życia i zasad mędrca Narayana; ascetyzm jego takiej dosięgał doskonałości, że aż sam zazdrośny Indra zaczął się obawiać aby śmiertelnik ten nie wzniósł się po nad niego. Wiedziony zawiścią, posłał do niego najpiękniejsze nimfy z nieba, w towarzystwie Miłości i Wiosny. Trzeba przyznać, że było to aż nadto dostatecznem aby przywieść do upadku wielu bardzo pustelników, ale Narayana, silny świętością i cnotą nie uległ pokusie; nadto zerwał świeży kwiat, dotknął go do siebie, i ten zamienił się w boginię tak zachwycającej piękności, iż obok niej zgasły wdzięki niebianek.

Dramat odbywa się w prześlicznej, samotnej miejscowości, i rozpoczyna się porwaniem Urwasi przez pewnego Danawa, olbrzyma z rodu Asurasów, czyli nieprzyjaciół bogów. Zrozpaczone towarzyszki nimfy, głośnemi krzyki objawiają swoją boleść. Na szczęście, przechodził właśnie przez górę Himalaya Pururawas, król Pratichtany, wracający z wizyty złożonej słońcu, i na prośbę bogini Apsaras, puścił się w pogoń za porywającym. Pokonanie takiego Danawy, to igraszka dziecinna dla dzielnego bohatera; odebrał Urwasi za jednym zamachem, i zemdloną ze strachu odniósł towarzyszkom. Ale to romantyczne spotkanie silny urok wywarło na króla. Urwasi odzyskuje przytomność „wielkie, prześliczne jej oczy otwierają się jak kwiat lotosu gdy brzask zaświta” i z niewysłowioną czułością spoglądają na swego zbawcę. Nimfa z towarzyszkami wraca do nieba, a biedny Pururawas pozostaje na ziemi przeklinając swe losy. Szukając ulgi, opowiada swe strapienie braminowi Manavaka. Jak to bywało i jest na świecie, tak i u Kalidasa wszyscy dworscy zausznicy i pochlebcy zawsze są do siebie podobni — cechą ich nikczemność i schlebianie namiętnościom i słabostkom władcy. Takim przedstawił Madhavya w *Sakuntali*, takim przedstawia Manavaka w *Urwasi*. Podczas gdy on przemyśliwa nad sposobem połączenia kochanków, Urwasi w powietrznym rydwanie zstępuje na ziemię. „Jakto, zapytuje ją towarzyszka nimfa Czitraleka, więc udajesz się do mądrego króla Pururawa?”

Urwasi. Tak, nie zważając czy skromność zezwala na to. Serce moje już mnie tam wyprzedziło.

Czitraleka. Jednakże wartoby zastanowić się nad tem.

Urwasi. Daremnie; miłość nakazuje, nie rozważa.

Czitraleka. Przeciw temu nie mam nic do nadmienienia.

Zaledwie Urwasi dała się poznać królowi, przychodzą po nią z rozkazu władcy bogów, gdyż ma odegrać pewną rolę w dramatycznym utworze mędrca Barata. Musiała być posłuszną; zanim jednak oddaliła się, napisała do króla kilka słów na liściu drzewa, ale złośliwy wiatr złożył go u stóp królowej Auzinari.

Tu następuje nader komiczna scena małżeńskiej zazdrości. Królowa pokazuje mężowi miłosny bilecik, a szyderskie jej słowa zdradzają gniew tajony. Król broni się bardzo niezręcznie, i nareszcie pada na kolana przed żoną. Widzimy że przed dwoma tysiącami lat, podobne sceny rozgrywały się nad brzegami Gangesu, podobnie jak dziś u nas.

„Przeniewierco! woła obrażona królowa, czyż sądzisz, że jestem tak łatwowierna iż uwierzę słowom twoim; pokora twoja i żal nie wzruszają i nie przekonywają mnie wcale”, i oddala się dumnie, nie chcąc słuchać go dłużej. Król powstaje zawstydzony.

„Przyjacielu, rzekł do swego powiernika, patrz, jeżli hołd składany nie jest szczerym, nie zdoła wzruszyć serca kobiety, podobnie jak nie oszuka szlifierza kamień fałszywy, choćby był jak najartystyczniej zabarwiony.”

Ale otóż i dzień ma się ku schyłkowi; orzeźwiające promienie księżyca zastępują palące słońce; wszystkie stworzenia rozkoszują się tą błogą chwilą. Jesteśmy w ogrodach królewskich przed pałacem Perły. Ah! czemuż to tylko piękne złudzenie!... Jakże chciałoby się zobaczyć ten lśniący pałac, odźwierciadlający się w ciemnych wodach Yamuny; te wspaniałe kryształowe schody, które przechodzi król ze swoim dworem. Pururawa zamarzony błąka się w cieniu gajów; Auzimari, po głębszej rozwadze zmieniła postępowanie, postanawiając ustąpić miejsca rywalce. Kobiety zachodu nie pojmują podobnej miłości; im wolno uważać za nikczemność to, co w obyczajach wschodnich jest tylko poświęceniem. Wzruszony król zdaje się chcieć zatrzymać Auzinari; okryta niewidzialności zasłoną, nimfa słyszy ich rozmowę i serce jej zadrgało zazdrością. Biedna Urwasi! grając kome-

dyę przed Indra zamyślona i rozmarzona, zmieszała się i zamiast imienia bohatera sztuki, wymieniła imię króla Pururawas'a; Barata przeklął ją za to, ale władca bogów, pobłażliwszy, zesłał ją na ziemię, gdzie przebywa jej ukochany. Jak tylko królowa odeszła, nimfa przybliża się na paluszkach i rękami zasłania oczy królowi.

Przypomnijmy sobie scenę miłosną z III Aktu „*Sakuntali*"; tam widzimy gwałtowną nieprzepartą namiętność — tu rozkosz otoczoną całym swym pociągającym urokiem, i podziwiać trzeba mistrzostwo Kalidasa, oddającego tak wiernie najsprzeczniejsze odcienia. Jakaż to rażąca zachodzi sprzeczność między zalotnem i wyzywającem postępowaniem tej nimfy, a głębokiem uczuciem córki Menaka. To nie owo nieśmiałe dziewczę wychowane w samotności, nie niewinna dziewica z żalem poświęcająca swą cnotę gorącym naleganiom kochanka; — Urwasi jest kurtyzanką zstępującą z niebiosów z postanowieniem uwodzenia i zawracania głów. Nie obce jej wszelkie środki prowadzące do tego celu. Wybierając się na schadzkę, przywdziała swoje najświeższe szaty z pereł i szafirów, i pożegnała bez żalu przybytek nieśmiertelnych. Niech ukochany jej nie obawia się — ona dla miłości zapomni o niebiańskich rozkoszach...

Towarzysząca przyjaciółce nimfa Czitraleka, oddalając się z powrotem do niebios, prosi króla, aby się starał iżby Urwasi nie pożałowała nigdy, że zstąpiła na ziemię; usłyszawszy to trefniś Manawaka, dziwi się dowcipkując trywialnie, jak można żałować miejsca pobytu, w którem jeść, ani spać nie można. Jak wiadomo bogowie nie sypiają i nie jedzą; zasyca ich sam widok ambrozyi.

Dworacy odeszli, milczenie zaległo do koło; lekki tylko wietrzyk szemrze wśród liści, tylko słowik indyjski nuci pieśń żałosną. *) Pochodnie gasną: jasna i woniami nasycona noc roztacza miły blask nad kochankami; bohater porywa piękną nimfę i wiedzie do pałacu.

W czwartym akcie wszystko się zmienia. Jak śmiertelni, tak i bogowie podlegają poszeptom zazdrości; Urwasi podejrzywa uprzejmość króla dla jakiejś pięknej sylfidy; nie słuchając usprawiedliwienia, ucieka i kryje się w lesie Kumara „którego każda kobieta unikać powinna". Zaledwie tam weszła, zostaje zamieniona w bluszcz.— a jest to, według Manu, jedna z najsurowszych kar, jaką bogowie mogą zadać rozumnym stworzeniom. Niepodobna wysłowić rozpaczy króla po jej zniknięciu; noc i dzień błąka się po przeklętym lesie. Jużto wściekłym miotany gniewem, ściga jakiegoś nieistniejącego Bakchasa, unoszącego Urwasi; już znów zapadając w rzewny smutek, wypytuje zwierzęta leśne o wieści o swej ukochanej. Nareszcie bogowie ulitowali się nad zrozpaczonym kochankiem, dozwalając mu znaleźć czerwony kamień, zabarwiony od koloru nóg bogini Gauri — a kamień taki, to talizman połączenia. I w tej chwili postać nimfy wyzwala się ze splątanych zwojów bluszczu, i Urwasi, odzyskawszy dawne kształty, rzuca się w objęcia ukochanego.

Żaden dramatyczny utwór indyjski, nie przedstawia takiej cechy lirycznej i melo-dramatycznej jak ten akt czwarty. Słowa ułożone są według rytmów muzykalnych przystosowanych do śpiewu, a mimika wskazana jest jaknajdokładniej.

Kilka lat upłynęło między aktem czwartym a piątym, stanowiącym epilog dramatu. W nim przedstawia się widzom młodziutki Ayus, owoc miłości króla i nimfy Urwasi. Pozwalając bogini zstąpić z niebios, Indra położył za konieczny warunek, iż musi opuścić ziemię w dniu w którym wyda na świat syna. Ale Urwasi potrafiła ukryć swoje macierzyństwo — widocznie Kalidasa jest zdania, że sprytna kobieta zdoła i władcę bogów wywieść w pole. Młody Ayus okazuje się tak godnym stanowiska, jakie mu przypada w udziale, iż wielka byłaby szkoda gdyby miał zamknąć się wśród ascetów, w samotnym świętym lesie. Ale Indra nie umie być tak okrutnym, aby miał rozłączyć tych co tak są z sobą szczęśliwi — to też odtąd królewska para wolną będzie od wszelkich doświadczeń i przeciwności, a sztuka kończy się hymnem dziękczynnym opiewającym dobroć bogów.

(D. c. n.)

*) Kokila (kukułka indyjska); według poetów śpiew jej budzi tkliwe i czułe uczucia.

WANDA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

Na podaniach polskich osnuty,

napisany wierszem rymowym

przez

JÓZEFA GRAJNERTA.

Z muzyką do kilku pieśni

ś. p. St. Moniuszki.

(Wykończony ostatecznie w Warszawie d. 26 Września 1880 r.)

Akt V.

(Dokończenie).

Scena trzecia.

(Ciż sami, wchodzi Bogdal.)

WANDA *(powstawszy z tronu).*

Ah! Bogdal, przecie! Jakież niesiesz wieści?
Wojna, czy pokój?

BOGDAL.

Jam poseł boleści!
Śpieszę z nad Łaby od kresów zachodu.
Nowy tam książę niemieckiego rodu,
Słysząc o twojéj piękności, królowo,
Chce cię mieć żoną; już wzburza zuchwały
Całą Germanję, by przez wojnę nową,
Gdy sił nam świeże boje uszczupliły,
Zabrać nam ciebie, a z tobą kraj cały, —
I szlak swój znaczyć nowémi mogiły,
I, jak bywało, nasze niemowlęta
Psom na pożarcie rzucać, nasze żony
I córy hańbić, w tabór objuczony
Wprzągać, ujarzmić wszystkich i skuć w pęta!

WANDA.

Więc marne moje wdzięki wiecznie będą
Wrogom przynętą, krwawych klęsk przyczyną?
O! prędzéj wezmę ślub z morską głębiną,
Niż dłoń swą zwiążę z niemieckim przybłędą...
Jestże na świecie co pewnego kiedy?
Szczęście, to krucha popielnic wątlica;
Niech jedna jędza wprzągnie się do biedy,
Wnet cię jędz tłumnych szydne gonią lica...
Świat ten niedawno tak jasny, tak luby,
Nagle mi zczerniał jak bezdenna jama;
W nią mię splot strasznych piekielnic do zguby
Pcha gwałtem; nad tą przepaścią ja, sama
Stoję... ma zbladła dłoń pomocy woła,
Lecz jakiejż... boskiéj dobréj, lub złej siły?
Czyż dobrym zwać się ten Wszechwładca zdoła,
Co stwarza klęski, cierpienia, mogiły?
Och! piersi moja, za cóż cię żar taki
Pali?

BOGDAL.

Najdroższa! Puść w jaśniejsze szlaki
Myśl swą: nasz naród jak roje gwiazd mnogi,
Z całego świata na proch zetrze wrogi;
Stal nasza świeże wyryła kurhany,
Kędy już gniją harde Allemany.
Odpędź myśl czarną, miecz mój stu pokona!
Ja kraj od klęski wojny, moru, głodu
Obronię, ty bądź liliją narodu.

WANDA *(ująwszy dłoń Bogdala).*

Ah! czuję z piersi rozkosz pierzchającą,
W głowie się myśli wirem szału mącą,
Serce rozpada w tysiąc cząstek z żalu.
Już szczęście nasze gaśnie nam, Bogdalu!
Moc je przeznaczeń w pieśń stypową zmienia.
Berłem niezdatna władać ręka dziewy,
Ty zbierzesz plony, jam posiała siewy.

(Po chwili.)

Jam snuła w duszy tak cudne marzenie,
Że blednie przy niém jutrzenka różana,
Z za gór wschodząca przez świt ranku biały.
Nagle sieć cudnych urojeń porwana
Tak dzikim wichrem, w wir tak rozszalały
Myśli i uczuć biegnę, iż mnie może
Tylko zeń wyrwać jedno ramię boże,
I dać znak: czy tu żyć cierpień trucizną,
Czy tam wypłynąć duchem nad ojczyzną?...

(Klękając przy towarzyszeniu muzyki.)

Wielki Perunie! nieba, ziemi panie,
Usłysz pokorne twej sługi wołanie,
Tyś jest wszechwiedny, ty oświeć łaskawie
Odmęt méj duszy w téj ojczystéj sprawie;
Spraw, niech duch ojca mego jasny, święty,
Zstąpi z obłoków wyrzec swojéj córze:
Czy ma żyć daléj dla Niemców przynęty,
Lub tam z nim nagle zamieszkać w lazurze?
Ojcze! zaklinam, wypłyń z niebios łona!

(Wśród nagłéj światłości w głębi zjawia się duch Krakusa, postępując naprzód.)

WANDA *(powstaje nagle).*

To on! ah! patrzcie.

BOGDAL i WISŁAW.

Gdzie? co mówi ona!

Scena czwarta.

DUCH KRAKUSA *(wśród towarzyszenia dalekich, uroczystych dźwięków muzyki, przemawia).*

Przyzwany mocą twojéj boleści,
Niosę, ci Wando, niebieskie wieści:
Rzuć, córko, wianek z ślubną liliją,
Bielszym cię wieńcem gwiazdy obwiją.
Gwiazd siedmiu wianki skroń ci oplotą,
Słońce ci tarczę da szczerozłotą.
Pójdź! pójdź wypełnić przeznaczeń czarę,
Raj górny czeka na twą ofiarę.

(Usuwa się w głąb' sceny.)

WANDA.

Błagam cię, ojcze, słowy żałosnemi,
Zostań już z nami w szatach śmiertelnika,
Złącz się z narodem tu, na twojéj ziemi.

BOGDAL.

Rozmowa twoja z tą próżnią przenika
Nas trwogą. Wando! twój umysł się miesza?

WANDA.

Patrzcie! tam jasność nad nim się rozwiesza
Niebieska, mowa jego słodko brzmiąca,
Jak dźwięki wiatru, gdy w strony harf trąca.

WISŁAW.

Nic nie widzimy!

LUBONIA.

Ach! słyszymy tylko
W lesie wiosennych wietrzyków powiewy.

WANDA *(klękając znowu).*

Ojcze! ah! jeszcze niebiańską mnie chwilką
Obdarz i rozjaśń smutny los twéj dziewy.

(Duch Krakusa zjawia się powtórnie, Wanda powstaje.)

DUCH KRAKUSA *(jak wyżéj wśród muzyki przemawia).*

Szczęsny lud, szczęsne orły krainy,
Gdzie krzew poświęceń strzela w drzewiny!
Toż będzie Lechija wielką, szeroką,
Jako się chmury piętrzą wysoko.
O! pójdź, kochanko, do wiecznych grona,
Tam cię z gwiazd siedmiu czeka korona:
Tu wróg na wdzięki twe czyha srogi,
Ty śmiercią swoją odstraszysz wrogi.

(Znika powoli.)

WANDA.

Mą śmiercią? Za cóż twoje wieszczby święte
Grożą mi?

WISŁAW *(do Bogdala).*

Rzeczy mówi niepojęte!

WANDA.

Ojcze! Już zniknął, ah! wpłynął w niebiosy...
Czyście słyszeli te nadziemskie głosy?
Jakże brzmią strasznie! Wian z lilij spleciony
Ponieść mam sama bogom w rajskie strony?
Sercu nie wolno rwać się do uroków
Ziemi kochanéj? mnież zmarnieć potrzeba?
W poranku życia prąd zgubnych potoków
Już mnie ma porwać! Och — wszechwładne nieba!

(Po chwili).

Lecz ojcze! słucham, — dola ma spełniona.
Szlak pewny... Jednak serce pęka z żalu,
Gdy los w zawiązku ścina marzeń kwiecie, —
Ale ojczyzny szczęście, ah! Bogdalu,
Droższe nad wszystkie wieńce róż na świecie...
Cóż warto, choćby najświetniejsze życie,
Gdy nęci wrogów miecz ostrzących skrycie?
Myśl, którą ojca duch z za grobu rzucił,
Dawno już zaród puściła w mém łonie;
Zaród się pączkiem dziś nagle ocucił,
A teraz w pełnéj rozwity koronie
Kwiat poświęcenia tak ponętnéj woni,
Jaka tam chyba z rajskich dyszy błoni...
I zwolna w duszy gra wielka muzyka
I całą istność boskością przenika,
Dając mi skrzydła tak lekko szumiące,
Jak lot boginek mknących w zmierzch po łące...
Dziwnie mi lekkie cielesne spowicie,
Jakbym z chmurkami płynęła w błękicie...
W dłoń twą, Bogdalu, skarb przyszłości kładę:
Rządź dzielnie Lechją, starców gromadź radę,
Piersią walecznych kraj osłoń w potrzebie,
Cnych natchnień szukaj tam w gwiaździstém [niebie.

(Składa koronę na kamieniu.)

BOGDAL *(klękając, a z nim i obecni).*

Wando! łzą straszną serce krwawić muszę;
Rządź daléj sławnie, daj zmiękczyć swą duszę,
Miecz ten niech z piersi méj dań złoży krwawą,
Ty zostań wielką z twem szczęściem i sławą;

(Wydobywa miecz.)

Niech kwiat poświęceń z mego skwitnie zgonu,
Ty żyj nam.

WANDA *(powstrzymawszy dłoń Bogdala).*

Wzywam cię powagą tronu,
Powstań! Powstańcie! To wola królowej,
Cudny przysionek do sali godowéj
Wszystkim ustroję w cierpień mych osnowę.
Och! drodzy moi, czy świetną budowę
Tę wzniosę zaraz, czy późniéj, ja nie wiem.
Dziś nic mię w świecie już wabić nie może;
Serce me nieszczęść spalone zarzewiem,
Czeka ochłody na skinienia boże;
Wszak wszystkich spotka kres życia jednaki:
Wzlecim tam kiedyś, jak niebieskie ptaki. —
A teraz w drogę! na koń przyjaciele!
Skarćcie lechici chciwych wrogów łowy,
Ty zaś Bogdalu z chorągwią na czele
Masz im przywodzić. I, — bywaj mi zdrowy! —

BOGDAL.

Gdy być inaczéj nie może, niech wszędzie
Twa wola gwiazdą przewodnią mi będzie
Do żądz szlachetnych, nieśmiertelnych czynów.
Mogiłę twoją wieńcami wawrzynów
Pokryję. Śpieszę na wrogów ruinę.
Zwycięzę, — mniejsza! czy sam w boju zginę.
Och! Wando, żegnaj! zajaśnij nad nami
Tam, piękną gwiazdą.

(Wychodzi wraz z Lechitami.)

GŁOSY ZA SCENĄ.

Bój na śmierć z Niemcami!

Scena piąta.

WANDA *(zdejmuje z siebie klejnoty).*

Milico, w darze przyjm ten pierścień złoty,
Tobie, Świetlano, cenne zausznice.
Lubonio, oto z szyi méj klejnoty.
Polsce méj oddam uczuć mych skarbnicę...
Tam gwiazdy srebrne, to ślubne lilije, —
Zorza mnie płaszczem purpury spowije,
A ma korona — to szczęście krainy
Droższe nad wszystkie wianki, zaślubiny.

MILICA *(klękając).*

Królowo! czemu w pięknéj życia dobie,
W noc słonisz tych, co jutrznię widzą w tobie!
Pociesz się, cudna! wspomnij te poranki,
Gdyśmy dla bogiń wiły białe wianki,
I srebrną nutą nuciłyśmy gajom
O wiecznych różach, — o Sobotnich Górach,
O księcia Lecha orłach biało-piórach,
O tych Olbrzymach srogich nad Dunajem... *)
Niech cię nadzieją ożywią wspomnienia, —
Ta bladość lic twych w głaz cię martwy zmienia.

ŚWIETLANA *(j. w.)*

Zrywasz ze światem tak rano, za młodu!
Cóż my poczniemy, bogdanko narodu?
Bez twego steru w nic pójdziem niebawem.
Patrz! tam pod niebem błękitnawo-łzawém
Zachodnie słońce szatę drze z purpury,
I z żalu w czarne zatapia się chmury.

LUBONIA *(j. w.)*

Głos twój brzmi strasznie, słoneczna królowo!
Niczem ci wieszczek twych błagalne słowo?
Promienna sławą, mądrością wsławiona,
Miłość swych ludów odpychasz od łona?
Chcesz-że méj śmierci? O! skonam za ciebie,
Kwiatem pociechy ja ci błysnę w niebie.

WISŁAW *(przemawia uroczyście przygrywając na lirze).*

Gdy chmury zaćmień grożą głęboką
Nad świętą ziemią burzy pomroką,
Słońce posłuszne woli Perona,
Smoka ciemności spędzi, pokona.
Gdy nad narodem ciążą pioruny,
Gdy nad krainą wiszą całuny,
Czysta ofiara i poświęcenie
Przebije chmury, spędzi żaćmienie.
Tu ludzie płaczą, marne stworzenia!
Wzrok ich nie sięga w głębie sklepienia,
Gdzie nucą bogi wraz z Radagostem,
Gdy gość wstępuje tęczowym mostem.
Wzbij się, orlico, po nad obłoki!
Spłosz jasnem skrzydłem smocze pomroki,
Odwróć ofiarą grom, błyskawicę,
Spuść snop promieni na swą ziemicę!...

WANDA.

Bogini moja, najbielsza Dziewanno,
Ty wszystkich dziewic jutrzenko i panno!
Iskrę miłości w sercu mém niestloną,
Jak wziąłem, złożę na twe święte łono.
Wieszczu Wisławie idź w świątyni progi
I błagaj bogów o los kraju błogi.
Najdroższe wieszczki, zostawcie mię chwilę,
Bym owładnęła myśli mych nawałem,
One tak czarne; niechże je umilę
Tem kwieciem wieńca ślubnego tak białém!

(Wkłada na skronie zdjęty z dębu wieniec.)

LUBONIA.

Tak, niech samotność wionie ci ochłodę
Rzeźwą na skronie, i jak na pogodę
Błyska się w dali, niech nadzieja złota
Z chmur twego czoła zabłyśnie na nowo.

(Wychodzą Wieszczki i inne Dziewice w gaj, a Wisław do świątyni.)

WANDA *(sama).*

Mnie błyskawica czerwona już wrota
Niebios otwiera jak w noc piorunową...
Widzę ją... W światłość łagodną korali
Zmienia się zwolna... Wicher szumi w dali,
Kołysze drzewin kościotrupy blade,
I zdarte liście zawcześnie z ich szczytów
Pędzi po ziemi... Ach, wszędy zagładę
Widzę... tam tylko spokój wśród błękitów...

(Podszedłszy ku brzegowi Wisły, przemawia przy towarzyszeniu lekkiéj, oddalonéj muzyki.)

Szumią wiatry nad lasami, tęskną duszę pieszczą,
Orły białe pod chmurami smutną wieść szeleszczą.
Dęby, orły mi zagrały pieśni pożegnania,
Żagiel boży, obłok biały ku ziemi się skłania.
Płynie obłok z bożéj strony po wybraną duszę;
Szumi Wisła w ciche tony, biegnie w borów głuszę,
Ciche szepcze powitanie z pod przezroczych [światów,
Z lilii srebrnych da posłanie, wianki z wodnych [kwiatów...
Wisło wielka, piękna, biała, rzek naszych ma- [cierzy,
Jam tak często cię witała z nad strojnych wy- [brzeży,
I słyszałam w jodeł szumie, buków i dębiny,
W pierwszéj nucie, w głośnéj dumie sławę méj [krainy...
Jakże słodko mnie wabicie, szare wiosek chaty!

*) Od Obrów czyli Obrzynów poszła nazwa Olbrzymów.

I te niwy, kędym w życie rwała modre kwiaty, —
I te góry, gdziem wbiegała patrzéć w kraj, bez [końca,
Gdziem pieśń ojców rozbrzmiewała, stojąc w kręgu [słońca. —
Lechjo święta! żegnam łzami i cierpieniem ciebie,
Wiecznie będziesz wspomnieniami świeciła mi [w niebie:
Bo gdy orły nad niziną z pod chmur przyżeglują:
To się po nad swą krainą Wandy myśli snują —
Bo gdy słońce w nurt potoków z za gór świt [rozsieje,
To się Wanda z pod obłoków do wód swoich [śmieje.
Bracia, siostry! wody, góry! żegnam was ze łzami,
Duchy białe! tęcze, chmury! śpieszę mieszkać [z wami. —
(Muzyka ucicha.)
Pęknijcie życia okowy,
Przez wód otchłanie biegnę w byt nowy:
Śmierć mię na gwiazdy, po drodze mlecznéj,
Wniesie w raj wieczny! —
Ziomkowie! bądźcie przez mój zgon szczęśliwi!
(Skacze do Wisły. Za sceną okrzyk przerażenia i zamieszanie. Ci i owi przebiegają przez scenę w trwodze.)

GŁOSY ZA SCENĄ.

Wiosła! łodzi! żywo! Daléj!

LUBONIA *(wchodzi po chwili z białym wiankiem w ręku, a za nią inne Dziewice).*

Zniknęła w falach wzburzonych powodzią...
Próżno za jasną szatą mknęli łodzią;
U brzegu spłynął wianek z lilii białéj, —
Wielkie wspomnienia w tym wianku zostały!

WISŁAW *(wychodząc z świątyni).*

Z nią utonęło w nurtach Białéj rzeki
Łakomstwo Niemców, — oby to na wieki! —

(Zasłona spada).

PRUSACY W FRANKFURCIE,

przez

ALEKSANDRA DUMASA.

przekład

J. B.

(Dalszy ciąg).

Wszyscy trzej weszli do przygotowanego dla nich gabinetu, i Bodemeyer zaczął przeglądać „Gazetę Krzyżową” czy nie ma w niej jakich ważniejszych wiadomości. Słuchajcie panowie, rzekł po chwili:

„Zapewniają, iż jutro ogłoszone zostanie rozporządzenie królewskie, mocą którego Izba poselska zostanie rozwiązaną.”

— A! rzekł pułkownik, to wiadomość nie bez znaczenia.

— Nie na tem koniec, rzekł redaktor „Gazety Hanowerskiej”, i czytał dalej:

— Mówią jeszcze, iż pojutrze ogłoszony zostanie rozkaz nakazujący uruchomienie landwery.

— No, to już przekonywa, że minister zwyciężył na całej linii, i że za dwa tygodnie wojna zostanie wypowiedzianą, rzekł pułkownik Andersen.

— Jeźli tak, rzecze Benedykt, ciekawa rzecz po czyjej stronie stanie Hanower?

— Nie ulega wątpliwości, że Hanower stanie po stronie Rzeszy, odpowiedział pułkownik.

— A z kimże trzymać będzie Rzesza?

— Naturalnie, że z Austryą, rzekł pan Bodemeyer. Ale otóż mamy nowe szczegóły o owem zajściu *pod Lipami.*

— Ah! czytaj pan proszę, zawołał żywo Benedykt, przekonam się czy napisali prawdę.

— Byłem w mej własnej osobie, a śmiejąc się dodał: i mógłbym nawet powiedzieć jak Eneasz: „*Et quorum pars magna fui*” Czytaj pan, proszę.

„Nowe objaśnienia, czytał pan Bodemeyer, pozwalają nam wszystkie szczegóły faktu stanowiącego jedyną protestacyą przeciw wielkiej manifestacyi narodowej, z jaką wczoraj w całym Berlinie a szczególniej *pod Lipami* przyjęto mowę cesarza Francuzów. W chwili gdy wielki nasz artysta Heinrich, kończył śpiewać w pośród szalonych okrzyków i oklasków naszą pieśń narodową *Wolny Ren germański*, dało się słyszéć przeraźliwe syknięcie. Łatwo pojąć, że tylko cudzoziemiec mógł dopuścić się podobnej protestacyi — jakoż niebawem sprawdzono, że był to pijany malarz francuzki. Byłby on niezawodnie drogo przypłacił swoje zuchwalstwo i stał się ofiarą tłumu oburzonego jego niecnem postąpieniem, gdyby nie wspaniałomyślność kilku oficerów, pruskich który wystąpili w jego obronie. Ten młody szaleniec ośmielił się rzucić przeciwnikom swoim jako wyzwanie, swoje nazwisko i adres; jednakże gdy dziś rano udano się do hotelu pod *Czarnym Orłem* aby żądać od niego zadość-uczynienia, — już go tam nie było; możemy więc tylko przyklasnąć jego przezorności i życzyć mu szczęśliwej drogi.

— Czy artykuł ten jest podpisany? zapytał spokojnie Benedykt.

— Nie, odpowiedział pan Bodemeyer; lecz czyż mija się z prawdą.

— Niech mi wolno będzie powiedzieć, odrzekł Benedykt, że z pięciu części świata zwiedziłem trzy, i miałem sposobność przekonać się, iż we wszystkich gazetach czy Północy czy Południa, w Petersburgu czy w Kalkucie, w Paryżu czy w Konstantynopolu, redaktorowie wiadomości miejscowych bardzo mało troszczą się o prawdę. Ten czy ów dziennik musi podać ich codziennie tyle a tyle kolumn czy wierszy, zatem chwyta pierwsze lepsze, nie pytając złe czy dobre, fałszywe lub prawdziwe, byle były — niech reklamują ci których razy Arystarcha dosięgły niesłusznie.

— Więc uznajesz pan, że doniesienie to jest niedokładne? zapytał pułkownik Anderson.

— Niedokładne i nie zupełnie prawdziwe. *Młody szaleniec* o którym mowa, nie tylko gwizdnął, ale nadto krzyknął: *Niech żyje Francya!* nie tylko krzyknął: *Niech żyje Francya!* ale wychylił kielich na jej cześć i powalił czterech pierwszych występujących przeciw niemu napastników. Wtedy rzeczywiście zbliżyło się do niego trzech oficerów pruskich, którzy chcąc go ochronić od dalszych napaści, żądali aby wołał: *Niech żyje król Wilhelm! Niech żyją Prussy!* ale on zamiast tego wszedł na stół i wypowiedział im głośno od początku do końca, słynną odpowiedź Alfreda de Musset na ich *Ren germański.* To najprawdziwsza prawda; że pewnie byliby go rozwścieczeni Niemcy poszarpali na sztuki, gdyby wystrzały z rewolweru Blind'a, nie odwróciły od niego uwagi. Nie uznając stosownem walczyć z pięciuset osobami, zgodnie z tem co mówi *Gazeta,* przeciwnem wyjściem wybiegł z kawiarni, chroniąc się pod opiekę ambasady francuzkiej... Wyzwanie jego odnosiło się do jednego, dwóch, trzech, wreszcie czterech, ależ niepodobna jednemu bić się z całą ludnością Berlina Z ambasady francuzkiej *młody szaleniec* posłał zawiadomienie pod *Czarnego Orła,* iż będąc zmuszonym opuścić Berlin, zatrzyma się w kraju leżącym bardzo blizko Pruss, aby mający do niego jakiś żal lub urazę, nie potrzebowali trudzić się zbyt daleko. I oto co powinni byli odpowiedzieć zgłaszającym się do hotelu. W tym celu *młody szaleniec* opuścił Berlin o szóstej rano koleją hanowerską, przybył tu przed godziną i pierwszem jego zadaniem było posłać bilet swój wizytowy szanownemu panu Bodemeyer, aby prosić go w imię honoru narodowego, iżby mu pozwolił za pośrednictwem swej gazety — wskazać tym, co go nie zastali pod *Czarnym Orłem,* miasto i hotel w którym stanął.

— Jakto! krzyknął redaktor *Gazety hanowerskiej,* więc to pan wywołałeś taką wrzawę w Berlinie?

— A tak! jak pan widzisz, z małej chmury wielki deszcz. I to także jest powodem, dodał zwracając się do oficera, dla czego przed chwilą miałem zaszczyt oznajmić szanownemu pułkownikowi Anderson, że zapewnie będę miał niezadługo zaszczyt prosić go o pewną przysługę, to jest, aby raczył zostać moim świadkiem, w razie, jeźliby — o czem z resztą nie wątpię — jakiś zapalony Prusak wyzwał mnie na pojedynek, za to że na obczyźnie stanąłem w obronie honoru mego kraju.

Obaj panowie jednocześnie podali mu ręce.

— A teraz, dodał po chwili, powinienem dać panom dowód, że nie jestem pierwszym lepszym awanturnikiem, o czem przekona was ten list od naszego dyrektora Sztuk pięknych, do pana Kaulbach'a, nadwornego malarza króla Jerzego. Wszak on mieszka w Hanowerze?

— Tak, w ślicznym domu który król kazał mu wybudować w ogrodzie.

— Dziś wieczorem będę miał zaszczyt przedstawić mu się i oddać ten list.

W tej chwili otworzyły się drzwi przyległego do sali gabinetu, i naprzód ukazał się w nich potężny żołądek a za sekundę głowa pana właściciela hotelu, który wypowiedział uroczystym głosem:

— Proszę panów, już podano obiad.

Jegomość pan Stephen przeszedł sam siebie, a pierwszy kucharz, czy to uznawszy wysoki talent kuchmistrzowski cudzoziemca oznajmiającego mu swoje rozporządzenia, czy spełniając rozkaz właściciela hotelu nakazujący mu, aby się do nich zastosował, nie odbiegł w niczem od programu i przyrządził wyborny obiad, nie francuzki, nie angielski lub niemiecki, ale europejski — godzien członków konferencyi a nawet i kongresu.

Pan Bodemeyer posiadał dość rozległe ukształcenie, ale nigdy jeszcze nie wydalał się nigdzie ze swego Hanoweru, małej stolicy niewielkiego królestwa; pułkownik Anderson przeciwnie dużo podróżował, wiele czytał i widział. Benedykt i on jedne zwiedzali kraje, jednych poznali w nich ludzi. Obaj byli obecni przy zdobyciu Pekinu, zwiedzili Indye i Amerykę; mówili więc o swoich podróżach, jeden z angielską flegmą i humorem, drugi z francuzkim dowcipem i ożywieniem.

Pułkownik, prawdziwy tegoczesny Kartagińczyk patrzył na wszystko ze stanowiska przemysłu i handlu, Benedykt ze stanowiska idei i postępu. Te dwa systemata bronione z zapałem, ale zarazem z wykwintną grzecznością ludzi wyższych i salonowych, ścierały się z sobą jak dwa flerety w biegłych, wprawnie wyćwiczonych rękach, a tryskające z nich iskry rozjaśniały ideje przelotne jak iskra, ale świetne jak te iskry.

Nie dość wprawny w polemikę dotykającą i poruszającą rozliczne teorye, których przeznaczeniem

stać się w przyszłości faktami, publicysta hanowerski próbował zwrócić rozmowę na temat filozoficzny i dowieść pod tym względem wyższości Niemiec nad Francyą. Gruntownie i wszechstronnie wykształcony Benedykt, znał i badał wszelkie systemata filozoficznie, nie lękał się więc walki na tym gruncie. Był on jak ów lew o którym mówi Gérard, że nieszczęśliwy Arab spotykał go zawsze na krańcach lasu, ilekroć chciał wyjść z niego i pomimo największych usiłowań nigdy wyminąć go nie mógł. Nie zaprzeczał, że Niemcy są krajem marzeń a niekiedy nawet i idei, ale twierdził, że Francya jest krajem zasad, zaś z innych krajów wychodzą same tylko fakta.

Wbrew zdaniu Andersona dowodził: że morze nie tylko odosobniało ludy, ale oraz ideje i wypadki; że co się dziejc we Fraucyi zajmuje świat cały, a co w niej się nie stało nie istnieje dla świata; że spadająca z gilotyny głowa Ludwika XVI daleko głośniejszem rozległa się echem, nietylko w Europie ale w całym wszechświecie, niż spadająca w Tolheringay głowa Maryi Stuart lub Karola I w White-Hall, i że Francya zajmuje w świecie tak wysokie stanowisko moralne, iż każdy niemal ucywilizowany człowiek uważa ją za drugą swoją ojczyznę.

— Zapominasz pan, rzekł pan Bodemeyer, iż nasz Kant wygłosił przed wami wasze francuzkie ideje; wy skasowaliście Boga w r. 93 on wypowiedział to już w roku 86.

— Zapewnie, odrzekł z uśmiechem Benedykt; wasz Kant był wielkim astronomem i przepowiedział istnienie planety Uranus, ale sam pan przyznasz jak niedorzecznym jest jego system skoro utrzymuje, że duchowa doskonałość światów zwiększa się w stosunku ich odległości od słońca. Wprawdzie często bywał on w sprzeczności z samym sobą, stawiał najsprzeczniejsze twierdzenia, aby je naprzemian potępiać lub bronić. I tak, dowodził, że nie ma Boga, ponieważ nie podobna dotykalnie dowieść Jego istnienia; nienależy więc niczego oczekiwać od Jego miłosierdzia, ani ojcowskiej dobroci, ani nagrody w życiu przyszłem za znoszone tu smutki i cierpienia, ani kary za popełnione winy — i jużmiał dowodzić bezzasadności wiary w nieśmiertelność duszy, gdy w tem wszedł do gabinetu jego stary sługa i upuszczając parasol zawołał z głośnym płaczem:

— Ach! panie, jestże to prawdą, że już nie ma Boga?

A że Kant, choć ateusz, był w gruncie nie zły człowieczyna, rozrzewnił się więc i rzekł sobie po chwili namysłu:

— Co prawda trzeba żeby istniał Bóg dla mojego starego Lampe'go, gdyż inaczej nie ma dla biedaka na świecie szczęścia ani spokoju — tak mówi rozum praktyczny — niech więc ten rozum praktyczny upewni mego starego sługę, że jest Bóg.

I tak więc, według Kant'a, jest Bóg dla biedaków, służących i niedołęgów, ale ludzie rozumni, arystokracya i szczęśliwcy tego świata, mogą się bez Niego obejść.

Wtem wybiła godzina ósma. Policzywszy uderzenia, redaktor zerwał się prędko mówiąc:

— Ósma! a mój dziennik jeszcze nie gotów!

— Ci szatani Francuzi! myślał sobie przymierzając z kolei kilka kapeluszy zanim natrafił na swój, to istne szampańskie wino narodów, są jaśni, mocni i mussujący!...

Daremnie Benedykt chciał go zatrzymać choćby pięć minut dla napisania swéj deklaracyi.

— Masz pan jeszcze dość czasu, zawołał chwytając swoją laskę; będzie wydrukowaną jutro, byleś mi ją przysłał dziś przed jedenastą. To powiedziawszy wyszedł.

Nazajutrz czytano w „Nowej Gazecie Hanowerskiej" następujące obwieszczenie:

„Dnia 7 czerwca 1866 roku, między godziną czwartą a wpół do piątej, na promenadzie pod Lipami w Berlinie, dostałem i oddałem pewną liczbę szturchańców szanownym obywatelom tego miasta, pragnącym mnie rozszarpać za to, że spełniłem toast na cześć Francyi. Nie mając zaszczytu znać tych co mnie poszturchali, ale pragnąc dać się poznać tym których poturbowałem, oznajmiam że przez ośm dni oczekiwać będę w Hanowerze w Hotelu królewskim, przy Wielkim placu, każdego kto miałby coś do nadmienienia przeciw memu zachowaniu się i postępowaniu w dniu wyż wymienionym. Życzyłbym sobie gorąco aby autor wiadomości podanej o mnie w „Gazecie Krzyżowej" znalazł się wśród reklamujących; nie znając jego nazwiska, nie mogę wystosować do niego innego wyzwania.

„Dziękuję uprzejmie panom oficerom pruskim którzy raczyli wystąpić w mojej obronie, aby zasłonić mnie przed rozżartem pospólstwem berlińskiem; ale jeźliby który z nich uważał iż może mieć żal do mnie, wdzięczność ta nie przeszkodzi mi dać mu żądane zadośćuczynienie.

„Powtarzam tu co już powiedziałem, że z góry zgadzam się na wszelką broń jaką podoba się komuś wybrać".

„Benedykt Turpin."

W hotelu królewskim, w Hanowerze.

(D. c. n.)

Przyszłej artystce.

Duch twój, co drzemie jeszcze w samolubnej ciszy,
Głosu przedwiecznej prawdy nie zna i nie słyszy,
Sił swych nie wypróbował w pracy, w walce, w czynie,
A ty, dzieweczko luba, marzysz o wawrzynie!

Wiedz, że geniuszu tchnienie gdy duszę ogarnie,
Już dla niej zakreślona droga całkiem inna,
Odurzać się czczej chwały dymem nie powinna,
Lecz Bogu, lecz swym bliźnim wieść życie ofiarnie.

W przyszłości, może kiedyś, gdy po latach wielu,
Laur zwieńczy twoje skronie w uznaniu zasługi,
Ja już spoczywać będę w niebieskim weselu,

Z win wszystkich oczyszczona, wraz z Pańskimi sługi;
Zmów wtedy za mą duszę paciorek niedługi,
I o tym ostatecznym pomyśl czasem celu.

Emilia.

KORESPONDENCYA
Z GALICYI.

Fundacya Stillerów. Dywidendy. Kolej podkarpacka. Mądry Polak po szkodzie. Self-help u nas. Biblioteka podręczników dla panien i książki. *Przewodnik Gimnastyczny. Switło. Kronika Słowiańska.* Platon Kostecki. Pan Miłaszewski obejmuje teatr. Gościnne występy. Koncert śpiewany w Żółkwi a słuchany we Lwowie. Album dla cesarzewicza Rudolfa. Ruch w Krakowie. *Gazeta Krakowska.* Wystawa dla przyrodników i lekarzy.

Podając w ostatnim N-rze Tygodnika wiadomość o wspaniałych zapisach pp. Brzozowskiego i W. Baworowskiego, Szanowna Redakcya pozbawiła mój list najpiękniejszej okrasy. Ale, on n'est trahi que par ses amis. Zemszczę się za to donosząc o trzecim legacie, który będzie się nazywał: *Fundacyą Magdaleny i Bonifacego Stillerów.* P Stiller były kupiec i przemysłowiec lwowski opuścił nasze stołeczne miasto i nabył w powiecie Stryjskim majętność *Morszyn*, z zakładem kąpielowym i wodami solankowo-borowinowemi. Zakład ten u stóp Karpat położony, tuż przy stacyi Ar. Albrechta, ma przed sobą piękną przyszłość, szczególniej teraz, gdy właściciel zapisał go na korzyść wdów i sierot po lekarzach i do współzarządu powołał Galicyjskie Towarzystwo lekarskie, które ma być zarazem wykonawcą testamentu. Pod kierunkiem tak kompetentnego ciała, Morszyn stanie się jednem z najbardziej uczęszczanych zdrojowisk a zarazem źródłem ważnem pomocy dla sierot i wdów po tych lekarzach, którzy więcej się zajmowali chorymi jak własną kieszenią. Zdaje mi się, że ta wiadomość pięknem jest entrée en matiére. Ale co dalej? Mamże mówić prawdę i napisać co nas najwięcej zajmuje? Oto sprawozdania bankowe, bilanse, zyski, odsetki, dywidendy i t. p. rzeczy dla tych szczęśliwców, którzy posiadają nożyczki a co ważniejsza kupony do obcinania owym pospolitym instrumentem. Wielkanoc zaledwie na chwilę przerwała te nie poetyczne zajęcia, wracamy znów do walnych zgromadzeń i cieszymy się (ach! nie ja niestety!) z 15, 18 i 22 złr. od akcyi. Drugim przedmiotem wprawiającym w ruch wielką liczbę ludzi, jest *kolej podkarpacka*, która przed końcem czerwca będzie prawdopodobnie zatwierdzona przez Izby. Otóż, mądry Polak po szkodzie, spostrzegł nareszcie po wielu latach, że kraj ogromne ma koleje, płaci podatki i czyni ofiary, a tym czasem te koleje zdzierają właśnie ten kraj najwięcej, gdy cudzoziemcy za połowę ceny przewożą sobie towary; że dyrekcya i ogromne biura mają siedzibę w Wiedniu i wyciągnięte z kraju pieniądze tam puszczają, że wszystkie wysokie urzędy są obsadzone przez obcych, tak że na 100 zaledwie kilkunastu jest Polaków i to najgorzej płatnych, że za nasze pieniądze zbudowana kolej ma język niemiecki jako manipulacyjny, ów mądry Polak, powtarzamy, spostrzegł to wszystko i o cudo! postanowił przypomnieć sobie, że mu z tem niedogodnie. Przypomniał sobie tem dobitniej, że z kilku linii stałych urzędników wydalano śród zimy po 60 bez żadnych ceremonii, że ukończeni inżynierowie i technicy z najwyższych zakładów zmuszeni są przepisywać akta za reńskiego dziennie, żeby nie umrzéć z głodu, gdy Niemcy majątki robią, nie siląc się na oszczędności; że przebywanie dyrekcyi w Wiedniu o 3-ą część podnosi koszta utrzymania kolei i t. d. I wyobraźcie sobie, takeśmy się rozzuchwalili, że cały kraj bez wyjątku wystąpił z żądaniem, aby, gdy kraj daje *miljon* a będzie rocznie pokrywał niedobór częścią z podatków na niego przypadającą, budowa została powierzona krajowym kapitałom, żeby roboty były wykonane przez krajowców, żeby zarząd miał siedzibę w kraju, żeby urzędy były obsadzone przez krajowców i żeby językiem manipulacyjnym był język polski. Energia tego wystąpienia będzie miała dobry skutek, bo koncesyonaryusz kolei *Bank krajowy* w Wiedniu listem swego dyrektora uspokaja opinię publiczną i obiecuje tak słusznym

żądaniom zadość uczynić. Możecie sobie przedstawić rozjątrzenie Niemców, że po kilkudziesięciu latach wyzyskiwania, Polak zmądrzał nareszcie. Twierdzą więc przezacni Germanowie, że Polacy ich okradają w biały dzień i że Niemieckość jest w niebezpieczeństwie.

Co jest równie a nawet bardziej pocieszającego, to pewne oznaki, że społeczeństwo coraz więcej zaczyna myśléć o sobie. Gdybyż to u nas bliżej było od myśli do czynu, prędkobyśmy się podnieśli! Mamy jednakże nadzieję, że jedna rzecz przedsięwzięta a szczęśliwym uwieńczona skutkiem, dobrze oddziaływa na ogół i zachęci do pracy. Ludność w rozpaczliwem pozostająca położeniu, wycieńczona pod względem ekonomicznym, przygnębiona moralnie, rychłoby odzyskała animusz pod dobrym kierunkiem. A właśnie ów kierunek tu i owdzie przebijać lody poczyna. Oto *Wydział Krajowy* utworzeniem *kuratoryi dla przemysłu domowego*, jeden słup podsunął pod walącą się budowę ekonomiczną. Dziennikarstwo, choć nie zawsze i nie dość gorliwie, porusza wszakże niejedną ważną sprawę i daje podnietę a także stowarzyszenia jak: *Gwiazda, Spójnia, Rodzina, Tow. przemysłowe, Tow. techników* i tym podobne, przyczyniają się do rozpowszechnienia zdrowych dążności. *Pomagaj sam sobie* jest jedynem hasłem dla nas.— Rząd nie wiele chce, a gdyby i chciał, to w dzisiejszych warunkach—nic wiele może. Wreszcie na cóż mamy się ciągle stawiać w położeniu małoletnich, którzy zawsze potrzebują niańki. Przeróżne ankiety zbierane dla zbadania najbardziej dojmujących nam spraw, bardzo słusznie rozdzielały swoją pracę i badane pytania. W sprawozdaniach bowiem wykazywały, co może i powinno czynić samo społeczeństwo, co władze autonomiczne i na koniec o ile rząd może pomagać polepszając odpowiednie ustawodawstwo. W przyszłości może szczegółowiej opowiem ważniejsze nasze zajęcia w tym kierunku, dziś zaznaczam tylko tę pocieszającą cechę charakterystyczną naszego teraźniejszego usposobienia, i przechodzę do innych rzeczy.

Dla Szanownych czytelniczek *Tygodnika Mód* zajmującą będzie wiadomość o ważnem wydawnictwie, o którem dowiadujemy się z prywatnych ale pewnych źródeł. Wszystkie nauczycielki a szczególniej matki wychowujące swe córki w domu, niejednokrotnie napotykały wielkie trudności w nauczaniu z powodu braku odpowiednich książek. Niepodobna nawet wymagać, aby najbardziej ukształcona osoba a nawet i patentowana nauczycielka mogła wszystkiego nauczać. Ztąd to wykształcenie dawane w domu musi być w wielu rzeczach powierzchowne a często wcale niedokładne. Nieraz i pensya znajduje się w wielkim kłopocie, bo nauczyciel albo dyktować musi, co jest połączone z wielkiem utrudzeniem dzieci i stratą czasu, lub też posiłkować się trzeba podręcznikami w tym celu pisanemi. Dla tych to powodów p. Jan Amborski wszedł w porozumienie z najlepszymi specyalistami, których sobie zapewnił współpracownictwo, a pewien dom wydawniczy lwowski podjął się publikacyi *Biblioteki podręczników naukowych dla domowego wychowania*. W przyszłym więc już roku ma wyjść odrazu dwadzieścia kilka tomików obejmujących nauki przyrodnicze, matematykę niższą zastosowaną do potrzeb życia, języki dwa lub trzy, Historyę powszechną i kościoła. Istotna wdzięczność należy się tym panom, którzy tak użyteczną przedsięwzięli pracę; a szczególniej wydawcom nie cofającym się przed ogromnym nakładem jakiego podobne wydawnictwo wymagać będzie. Wartoby tylko, aby cenę uczyniono jak najprzystępniejszą, mając bowiem taki zbiór podręczników, każda matka nawet na wsi będzie mogła dać córkom bardzo wystarczający zasób najpotrzebniejszych dziś wiadomości.

Żałuję, że nie mogę dłużej zatrzymać się nad pracą p. Julii Selingerowej: *Geografia powszechna dla szkół publicznych*, wydanie 2-ie, nakładem autorki w *Tarnopolu*. Jest to może najlepszy ze znanych nam podręczników do nauki Geografii. Niezmiernie cenną i godną szczególnej uwagi jest broszurka Ks. Jana Siemieńskiego: *Lud Wiejski*, skromnie nazwana pogadanką. Polecam gorąco te słuszne, praktyczne i bezpretensyonalne uwagi zdrowo myślącego umysłu i zacnego serca. Przydadzą się one i właścicielom ziemskim, i nauczycielom i duchownym. Oprócz broszurek miejscowego znaczenia trzeba podnieść piękne usiłowania lwowskiego wydawcy p. Altenberga, u którego wyszedł I zeszyt *Pana Tadeusza* z illustracyami Andriolli'ego. Dzieło pięknie wydrukowane, ale czemuż w Lipsku, kiedy i u nas równie pięknie odbijać umieją. Ważny to zarzut. P. Andriolli ma zanadto ustaloną sławę, abym mu mógł zaszkodzić wypowiedzeniem mego zdania. Nie mam pretensyi do znawstwa, to też illustracyj krytycznie oceniać nie będę, ale jak wielu innych profanów powiem: „może to i piękne, ale nam się nie podoba.” Niektóre rzeczy więcej na karykaturę wyglądają jak na illustracye, np. wieczerza! Gustaw Doré nie zaparłby się tych rysunków pod względem manierv — ale my te wszystkie postacie śniliśmy inaezej.

Pomimo bardzo trudnych warunków nie ustają wysilenia w dziale piśmiennictwa peryodycznego. We Lwowie powstało pismo specyalne *Przewodnik Gimnastyczny*, organ Tow. gimnastycznego *Sokoł*, pod redakcyą wice-prezesa tego Tow. Doktora Med. Tadeusza Zulińskiego. W Kołomyi założono dziennik ruski *Switło*, mający pracować nad usunięciem waśni między pobratymczemi plemionami słowiańskiemi, z czego korzystają tylko Niemcy. Na drugim zaś krańcu Galicyi w zniemczonym i zdławionym przez Niemców Bielsku, równocześnie prawie ukazuje się *Kronika Słowiańska*, która sobie bierze za zadanie zbliżyć Polaków, Czechów i inne plemiona słowiańskie celem obrony przeciw „cisnącym się coraz bardziej żywiołom niemieckim.” Na zakończenie jeszcze jedna przyjemna wiadomość. Wiadomo wam, że ogłoszono w Hiszpanii konkurs na napisanie poematu na cześć Calderona. Pan Platon Kostecki znany poeta ruski i polski otrzymał *medal złoty*, o czem urzędowne już odebrał uwiadomienie.

W teatrze nowa już dyrekcya. Od Wielkiej Nocy objął kierownictwo sceny p. Miłaszewski. Pierwsze przedstawienie było raczej otworzeniem teatru: obok drobniejszych rzeczy odegrano Kraszewskiego *Prolog* na ten cel napisany. Na drugi dzień dano wspaniały poemat tragiczny Asnyka *Kiejstut* a następnie korzysta p. Miłaszewski z pobytu tutaj artystów warszawskich, co dla kasy jest bardzo korzystne a dla publiczności przyjemne. Widzieliśmy bowiem p. Święcką-Popiel, p. Chomińskiego, teraz zaś p. Rapacki ściąga licznych widzów. Obok tego koncerty przeróżne: jeden nawet bardzo sztuczny. Artyści bowiem śpiewają i grają w Żółkwi a my słuchamy we Lwowie, dzięki ulepszonemu telefonowi tutejszego inżeniera p. Machalskiego. Oczekując na wielką mieliśmy już małą Wystawę obrazów. Jako podarek ślubny Galicya nie posiadająca ani złota ani kamieni drogich, ofiarowuje Cesarzewiczowi Rudolfowi album 18 akwarel najlepszych naszych artystów. Przedstawiają one najpiękniejsze momenta pobytu Cesarza w Galicyi. Osadzone na obracającym się walcu, tak że kolejno przedstawiać się będą oglądającemu, wraz z tym walcem znajdą pomieszczenie w rodzaju szafki z dębowego drzewa. Istne to arcydzieło całe rzeźbione, wykonane zostało według planów p. Zacharyewicza prof. Archit. w tutejszej szkole politechnicznej, według modelowania p. Marconiego, prof. rysun. ornament. w tejże szkole. Co ważniejsza, że prawie wszystko zostało rzeźbione ręką polskich artystów, a nawet uczniów p. Marconiego. Śliczne to dzieło zasługuje na szczegółowy opis; widzę jednak, że miejsca by mi zabrakło na doniesienie, że i Kraków się rusza. Wznoszą się nowe gmachy, przygotowuje się statut nowego Muzeum w Sukiennicach, gdzie już się zebrało 48 obrazów; wydaje się nowy dziennik: *Gazeta Krakowska*, a co najważniejsza przyszłoroczny Zjazd lekarzy i przyrodników nasunął myśl Wystawy, której celem będzie przedstawić zgromadzonym członkom Zjazdu ruch naukowy na polu badań i prac umiejętnych, środki naukowe pomocnicze, a zarazem co się wyrabia w kraju (a więc nie potrzebuje być sprowadzane z zagranicy) w gałęziach przemysłu i handlu dotyczących umiejętności któreśmy wymienili, jakie są zalety i wady naszych wyrobów i czego nam brakuje. Z całego serca pragnęlibyśmy aby ta Wystawa się powiodła, miałaby bowiem doniosłość nie do obliczenia, nietylko dla nauki ale dla mnóstwa gałęzi naszego przemysłu.

Choć więc źle z nami, choć już 3-a część Galicyi przeszła w obce ręce, nabieramy otuchy, patrząc na początek wszystkich szlachetnych usiłowań których kierunki i liczba jak też i rozmiary mnożyć się zaczynają. Dałby Bóg, żebyśmy nie ustali w tej pracy, a i w tem mamy nadzieję, że okażemy więcej wytrwałości jak dotąd.

TRZY MIESIĄCE W CHORWACYI.

Wspomnienia z podróży po Austryi i Węgrzech

przez

LUIDEVITA PRIJATELI,

przekład J. B.

(Dalszy ciąg).

XIV.

Powiedzieliśmy wyżej, że chrześciańskie rodziny bośniackie, w końcu XV wieku przybyły szukać schronienia w Zagoryi, gdy pokonane przez Turków wolały zrzec się majątków niż zaprzeć się swej wiary. To postąpienie ich nie pozostało bez nagrody; władcy krajów tych wyznaczyli im obszary ziemi, skutkiem czego odzyskiwali w Zagoryi stanowisko utracone po za Sawą; ale też podczas wojen z Turkami stawali zawsze w szeregach Chorwatów, będąc najgorliwszymi obrońcami ich narodowości.— Z tych do magnackich rodów zaliczają: Keglewiczów, Draskowiczów, Gasziców, Orsziców i w. i.

W Zagoryi także spotykamy starożytne feodalne mieszkania pierwszych baronów chorwackich, domyślnych potomków owych legendowych towarzyszy Króla Horwata, zmarłego w zamku Krapina, którego synowie: Lech, Czech i Rus byli, jak mówi legenda, założycielami narodowości polskiej, czeskiej i ruskiej.

Do zamków starodawnych, z których dziś same

pozostały zgliszcza, należą: Lobor, Ostrc, Belec, Kostel, Cezargrad, Zabok, Stubiska i Bistra. Zamek Bistra, stojący na granicy Zagoryi, bronił przejścia przez *Zagrebaska gora* leżący na drodze do Krapiny i Zagrzebia. Hrabia Orszic kazał go odbudować w roku 1773; jest to jedna z najwspanialszych magnackich rezydencyi w Zagoryi, i dawniej nadawała właścicielom swoim prawo zasiadania pomiędzy magnatami w sejmach chorwackich. Pan i właściciel Bistry, miał wówczas, jeszcze i pałac w Zagrzebiu, przy ulicy Kapucyńskiej, będący obecnie własnością barona Rauch, byłego bana Chorwacyi. Budowa jego sięga epoki odbudowania nowego pałacu Bistra i wzniesiony jest w tymże samym stylu architektonicznym. Tak po nad głównemi drzwiami pałacu w Zagrzebiu jak i nad bramą zamku Bistra umieszczony jest herb Orsziców. Na głównej tarczy statua Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia: w około godła wojskowe jeneralskie; po nad statuą prawica trzymająca ostrą krzywą szablę ze złotą rękojeścią — a na szczycie potrójna korona.

Zabok i Oroslawje, leżące na drodze z Bistry do Swete-Kritz, są to dwa starożytne zamki wraz z rozległemi posiadłościami, nadające swym posiadaczom prawo zasiadania w sejmie pomiędzy magnatami. Dziś należą one do hrabiów Voïkffy i Sarmaga.

Pregrada leżąca nad brzegami Kosteliny, między Rohiczem a Krapiną, była to kiedyś obronna warownia, zamieniona dziś w prześliczną pańską rezydencyę. Właściciel jej, baron Ottenfels, członek Sejmu założył tu najpiękniejszą w Chorwacyi winnicę. Najpotężniejszą feodalną warownią z czasów hrabiów Cilli i króla Mateusza Korwina, był Trakoszan, leżący na południowej pochyłości góry *Macel*. Jest on, jak utrzymują, wzniesiony na zgliszczach starożytnej rzymskiej fortecy *arx Thracorum*, zkąd też powstała jego nazwa. Restauracyą jego rozpoczął kardynał Jerzy Draskowic, ku końcowi XVI wieku; a dokończyli jej synowcowie jego. Trakoszan jest wspaniałą pańską rezydencyą, pozostającą dotąd w posiadaniu hr. Draskowiczów.

Ludność Zagoryi zajmuje się wyłącznie rolnictwem, i po dziś dzień utrzymuje się tam patryarchalne życie *klanów*, tak odpowiadające łagodnemu, serdecznemu i towarzyskiemu usposobieniu rassy słowiańskiej.

Całe rodziny składające się z kilku pokoleń, żyją wspólnie pod zwierzchnictwem najstarszego z rodu. On to kieruje pracami i uprawą roli, a po żniwach rozdziela plony pomiędzy rodziny. Gdy już wszelkie prace około wspólnej własności klanu są dokonane, wtedy dopiero członkom jego wolno najmować się do roboty w sąsiednich posiadłościach, a w takich razach, otrzymane zarobne jest już wyłączną ich własnością. Zarobne to wynosi zwykle 35 krajcarów dla kobiet a 40 dla mężczyzn, którzy w dodatku otrzymują jeszcze butelkę wina. Długość godzin pracy iest od 10 do 12, odpowiednio do pory roku.

Tym jedynie sposobem młode wieśniaczki chorwackie mogą zebrać jakiś fundusz na ozdoby swego stroju i uzbierać posag, który zazwyczaj stanowi krowa i wyprawa mniej lub więcej zaopatrzona, a jaką obowiązane są wnieść do *klanu* przyszłego męża. Jeźli zostają bezdzietnemi wdowami, w takim razie powracają do *klanu* rodzicielskiego, na miejsce jakie zajmowały przed zamężciem; wdowa mająca dzieci pozostaje w rodzinie męża, i większy niż za życia jego przyjmuje udział w wspólnych pracach. Widzimy z tego jak skromne stanowisko zajmuje kobieta w rodzinie chorwackiej; jej prawo do majątku jest tylko przypadkowe i tylko w razie gdy nie ma potomków męzkich, lub też gdy rodzice wyzwoliwszy się z *klanu* przypuszczają córki do równego działu z synami.

Zwyczaj ten, uświęcony prawem cywilnem i sięgający początku dziejów ludu słowiańskiego, sprzeciwia się bezwzględnie zasadom prawa rzymskiego i germańskiego i nie odpowiada zupełnie duchowi praw tegoczesnych, przewodniczących rozwojowi nowych społeczeństw, w których indywidualność i osobistość tak przeważne zajmują miejsce. Nie istnieje on już w instytucyach Słowian Północy i przechowały się jeszcze tylko w Serbii, Slawonii i Chorwacyi—ale i tam zdaje się niedługo zostanie zaniechany. Jemu to jednak ludności te zawdzięczają rozwój szlachetnych uczuć i gościnności, których szukałby daremnie wśród ludów rassy germańskiej lub anglo-saksońskiej.

Chorwaci zagoryjscy są dobrzy, serdeczni, otwarci, szlachetni, gościnni, a tak miłujący kraj swój i ojczyznę, iż cudzoziemiec umiejący choćby tylko te trzy wyrazy po chorwacku: *S' bogom, hvala Gepa, na zdravje* i hymn narodowy *Ljepa nasa domovino*, mógłby bez grosza przebiedz cały ten kraj; a jeźli jeszcze umie powiedzieć w porę, *Zivjo, ljepo za hvalim* i *laku noch* — wtedy już gościnność nie zna granic, gość staje się prawdziwym panem domu. Te przywileje gościnności przedstawiane są w formie symbolicznej, gdy gospodarz domu, cudzoziemcowi którego chce uczcić podaje *bilikom*, gdy tenże gość po raz pierwszy zajmuje miejsce w domowem ognisku chorwackiego szlachcica czy wieśniaka. *Bilikom* jest to wielki puhar pełen najlepszego wina jakie gospodarz domu posiada, i który ofiaruje gościowi na półmisku wraz z kluczem od domu, pozdrawiając go temi słowy: „Od dziś, dom ten jest twoim domem; klucz ten upoważnia cię wchodzić i wychodzić o każdej godzinie i w jakiejbądź okoliczności szukać w nim schronienia. Rozporządzaj tu dowolnie wszystkiem w razie potrzeby, żądaj śmiało pomocy i opieki właściciela który ofiaruje ci przyjaźń swoją, i uważa cię od tej chwili jako brata zesłanego mu od Boga." Ten bratni związek zatwierdza serdeczny i pełen zapału okrzyk *zivio!* jeźli na to przemówienie gospodarza domu, gość w odpowiedzi spełni do dna podany sobie kielich. *(D. n.)*

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ W. 279 N-rze Tygodnika Illustrowanego, w kronice zagranicznej I. J. Kraszewskiego, czytamy ustęp tak świętą zawierający prawdę i tak mistrzowsko wypowiedzianą, iż pozwalamy sobie powtórzyć go dosłownie.

Kozioł ofiarny. Godną, zaprawdę, zastanowienia rzeczą, jest najświeższe wystąpienie rozmaitych organów prasy przeciwko narodowości, którą dotąd prawie za zniknią i nieistniejącą usiłowano przedstawiać; godnym zastanowienia przedmiotem to znęcanie się w danej chwili nad bezbronną ofiarą, przeciwko której wszystko co kto chce przedsiębrać wolno. Gdyby nie było innych dowodów upadku moralności publicznej, dosyć tego jednego na napiętnowanie czasów naszych.

Zarzucają nam na przemiany: zacofany fanatyzm, rewolucyjnego ducha, posuniętego do krańcowego radykalizmu, spiskowanie nałogowe i... co się komu podoba. Gdy potrzeba, nie ma nas na świecie, narodowość nasza jest nieistniejąca, złamana, nieprzyjazna cywilizacyi, wymrzéć mająca, a nazajutrz żywotna, przebiegła, wciskająca się wszędzie, niebezpieczna. Cóż ją taką uczyniło?... Potrzeba było kozła ofiarnego. W Berlinie wszystkiemu złemu winni są Żydzi, a jeźli nie Żydzi, to Polacy. Pan Katkow każe Polakom dostarczać rewolucyi pieniędzy; pan Bismarck skarży się, że mu Rzym buntują, świętopietrzem obsyłają i że oni kulturkampf zrodzili.

Na Boga zkąd nagle i tyle honoru i taka nadzwyczajna siła?!... Wczoraj przecie nigdzie nas nie było; etnograficzne mapy wykazywały, że nie ma dla nas miejsca na tym przestworze który miano za polski... a dziś!...

Goryczą zapływa serce, gdy czytamy te nikczemne brednie.

Lecz... wszystko co się mówi i pisze o tym zasiewie, to wierutne brednie! Fanatyzm jest udziałem zbolałej cząstki, której przekonania religijne zadraśnięto, a ów duch rewolucyjny?... oglądam się napróżno aby go znaleźć i namacać — nigdzie go nie ma u nas. Owszem, nigdy pojęcie prawa, jego poszanowanie silniejszem u nas nie było, nigdy poddanie mu się — zupełniejszem. Ale kozła ofiarnego znaleźć musiano, i aby jakiegoś Izaaka ocalić, trzeba wziąć co się pod rękę nawinęło i nóż.

A więc Polacy winni wszystkiemu!... Naturalnie! Któż stanie w ich obronie? Niemcy ich nie cierpią; Francuzi czczą tylko siłę i bogactwo, opinia publiczna w Europie nie ma żadnej zasady, żadnego pierwiastku na którymby się opierało, dla niej kto potężny, kto możny, kto zwycięża, ten lepszy. Na bezbronnego każdy Katkow rzucić się może z obuchem.

Odpowiadać na najsprzeczniejsze potwarze byłoby niemal śmiesznem, gniewać się za nie, godności naszej uwłaczającem. Wspomnieć o nich tylko potrzeba jako o fakcie historycznym, który na kartach dziejów zapisanym zostanie.

+ Korespondent Gazety Polskiej zamieszcza bardzo interesujące szczegóły, które za nim powtarzamy. Mówiłem wam, powiada, w zeszłej korespondencyi, że włościanie pewnej wsi odmówili datku na szkołę. W dopełnieniu tej wiadomości dodać winienem, że chęć nauki u ludu istnieje, ale wiele rzeczy stoi na zawadzie do urzeczywistnienia tej chęci. I tak: szkoły są rozrzucone po gminach (i to nie wszystkich) w większych jedynie osadach; korzystają z nich przeważnie dzieci tej osady, w której znajduje się szkoła. Dzieci wszystkich innych wsi, równe z poprzednią ponoszących ciężary na utrzymanie szkoły, nie mają jej w swojej wiosce, lecz o pół, o milę lub dwie nawet od domu. Aby z takiej szkoły korzystać, dziecię musi albo codziennie wśród śniegów, deszczów i zamieci, w porze nauki szkolnej po wsiach — dość zwykłych, biegać kawał drogi; albo też rodzice muszą go oddać gdzieś na stancyę. Jedno dla dziecka, drugie dla rodziców nie do przezwyciężenia, stawia zaporę w nauce. Jeżeli znajdują się dziś wszakże włościanie, umiejący czytać i pisać we wsiach bezszkolnych, zasługa to nie szkoły, ale pewnego rodzaju nauczycieli wędrownych. Są nimi inni włościanie, a częściej jeszcze ich dzieci, które szczęśliwsze od innych, wyuczyły się gdzieś na książce. Włościanin, mający kilkoro dzieci do nauki, bierze do siebie takiego mistrza na miesiące zimowe, żywi go i opiera, a nadto płaci od 20 groszy do 1 złotego polskiego miesięcznie za naukę. W 3—4 miesięcy

zwykle taki improwizowany nauczyciel cały zasób wiedzy przelewa w ucznia, i na drugie pół zimy do innej przenosi się chaty.

Nie mogę się tu powstrzymać, aby nie opowiedzieć autentycznego, chociaż oryginalnego użytku elementarzy obrazkowych. Malec sylabizuje litery; do pomocy pamięci ma rysunek, który ma mu przypomnieć wyraz z sylab powstały — rzecz zdaje się prosta i żadnemu rozbiorowi nie podległa. Zobaczmy jak ją dzieci chłopskie spożytkowują. Oto np. czyta: *„k, o, ś, ć"*—obok czego narysowana jest kość; kość każda w języku ludowym nazywa się *„gnat"*; dziecię więc, zanim zdoła złożyć litery, czuje się pod wpływem pojęcia, które mu się obrazowo rzuca w oczy, i sylabizuje: *„k, o, ś, ć—gnot"*. Podobnie: *„ż, y, d—pachciarz"*, bo prócz pachciarza, dziecko żyda innego nie widziało; dla tej samej przyczyny czyta: *„r, y, b, a—śledź"*; a *„d, q, b"* z powodu niedokładności rysunku, składa: *„drzewo"*. Opowiadam fakta autentyczne, które nie wątpię dadzą do myślenia nad potrzebę doskonalenia metody poglądowej jej autorom.

+ *Gazzeta d'Italia* podaje obszerne sprawozdanie z odbytego d. 3 b. m. administracyjnego posiedzenia *Akademii Mickiewicza* w Bolonii. Prezydujący w przemowie swojej z wysokiem uznaniem mówił o hojności z jaką Polacy obdarowali akademię tę w ubiegłym roku, dzięki której, zebrał się już dość bogaty księgozbiór i 46 obrazów, przeważnie utworów polskich malarzy. Poczem przystąpiono do wyborów. Wybrani zostali: prezesem, profesor Dominik Santagata; wice-prezesem, adwokat Jan Kajetan Berti; sekretarzami: markiz Alfred Rusconi i Ludwik Ronersi, bibliotekarzem, dr. August Gaudenzi, skarbnikiem, Aleksander Galvagni. Członkami honorowymi mianowano: syna nieśmiertelnego wieszcza, Władysława Mickiewicza, dr. Ludwika Wolskiego, Teofila Lenartowicza, Kornela Ujejskiego, Jakuba Scovazzi, Armanda Levy i hr. Władysława Platera. Na tem posiedzeniu odczytano nader sympatyczny list profesora Aurelego Saffi i telegram profes. Filopanti'ego.

Z dniem 1-go maja, nasz snycerz-poeta, Teofil Lenartowicz, jeźli zdrowie jego nie pogorszy się przynajmniej, miał rozpocząć w uniwersytecie bolońskim wykład literatury polskiej, której kurs już przygotował. Niezmordowany w pracy, pomimo nadwątlonego zdrowia, przesłał do druku do Lwowa dwa tomy nowych poezyj; wyrzeźbił postać Dyzmy, łotra nawróconego na krzyżu, i prześliczną figurkę „Jagody" dla jednego ze znawców sztuki w Warszawie, oraz wiele pomniejszych utworów. Prace Lenartowicza zyskują wielkie uznanie i pochwały najznakomitszych znawców włoskich, rzeźbiarskie jego utwory zdobią włoskie kościoły i mogiły.

+ Wyszła z druku *Biografia Mazzini'ego* przez panią E. Ashurst Venturi; jest to książka bardzo zajmująca, która niezawodnie licznych znajdzie czytelników. Znajdujemy tu wiele szczegółów rzucających jasne światło na wypadki z 1849 r. Ów Mazzini, słynący jako rewolucyonista, nigdy nie przedstawia się jako ateusz, nigdy nie odłącza Boga od wszelkich swoich idei i przedsięwzięć. „Jedynym władzcą ludów jest Bóg, mówi on, jedynym ich prawodawcą, prawo boskie." W książce tej czytamy piękne wspomnienie z dziecinnych lat Mazzini'ego. Dopiero mając lat sześć mógł zacząć chodzić. Gdy matka odważyła się nareszcie pierwszy raz wyjść z nim na miasto, chłopczyna stanął nagle i zaczął nader bacznie wpatrywać się w pewnego starego żebraka, siedzącego na schodach przed kościołem. Matka jego, zadziwiona tą nieruchomością dziecka i sądząc, że przestraszył go widok starca z długą siwą brodą, dziwacznie przyodzianego, chciała go wziąć na ręce, ale chłopczyna wyrwał jej się, pobiegł do żebraka, i biorąc go za szyję, zaczął całować wołając do matki: „Daj mu co, mamo, daj prędko." Łzy stanęły w oczach rozrzewnionego starca, uściskał dziecię i popieścił i rzekł do pani Mazzini: „O! kochaj go pani bardzo, bo on lud kochać będzie."

Symboliczna ta anegdota jest autentyczną.

+ Wiadomo, iż rząd wyznaczył fundusz na osuszenie olkuskich kopalni srebra; w tym celu nieprzerwanie prowadzono rozpoczęte w r. z. roboty aż do 15 grudnia, i dokonano już prawie czwartą część zamierzonej pracy, ogólne koszta której wyniosły 12,000 rs. Dopełnione roboty dozwalają wnosić, iż osuszenie kopalni do poziomu starych sztolni nie napotka wielkich trudności, i da się dokonać za wyznaczoną summę 68,000 rs. Przygotowano materyały do dalszych robót, które mają się rozpocząć w pierwszych dniach maja. Osiągnięte już rezultaty zapewniają, że kopalnie olkuskie niebawem osuszone zostaną — ale to nie dowodzi jeszcze, iż pokładane w nich nadzieje zostaną urzeczywistnione. Opierając się na podaniach o dawnej świetności tych kopalni, obiecują sobie powszechnie, iż znajdują się w nich bogate pokłady srebra—jednak baczne zbadanie dawnych akt i śladów starych bardzo robót górniczych każe wnosić, iż pokłady te zostały wyczerpane przez naddziadów naszych, eksploatujących kopalnie te przez trzy wieki, a mianowicie 150 lat przed poprowadzeniem sztolni i tyleż po przeprowadzeniu. Zapewne więc niewiele pozostało błyszczu ołowianego, zawierającego srebro, ale zato pozostał galman, z którego jeszcze wówczas nie umiano wyrabiać cynku. Obecnie kopalnie galmanu niemałe mają znaczenie — otworzyłyby w kraju nowe źródło przemysłu i pracy.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie dla panienki lat 11 — 15. Do spódniczki fałdowanej z wełnianego atłasu, stanik z bawełnem i tunika podpięta sznurami, zrobione są z kaszmiru. Stanik wycięty w karo jest z tyłu jedwabnym sznurkiem sznurowany. Szmizetka i obcisłe rękawki z faille tego co spodnica koloru. Plisy z aksamitu. Przy wykroju stanika haft złoty.

Ubranie spacerowe. Spodnica z plisowaną falbaną jest z gładkiego wełnianego materyału, długa tunika z materyału w kolorowe paski; stanik paltocikowy z aksamitu takiego jak spódnica koloru. Kapelusz czarny słomkowy ubrany kwiatkami maku.

Ubranie dla chłopczyka. Majtki do kolan i żakieta z szewiotu; kołnierz duży płócienny, krawatka z kokardą, kapelusz czarny filcowy. (464)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pan. Palma. Wybór powieści wziętej do tłomaczenia niezły, ale zbyt wierne trzymanie się oryginału szkodzi całości. Rękopism może być odebrany w redakcyi.

Panu Stanisławowi M. w Białej. Sznurek ułatwiający wyrzynanie się ząbków u dzieci z rośliny Xautum strumaryium, kosztuje rs. 1 kop. 50 z przesyłką. *Adres:* Skład papieru i kantor loteryi Stanisława Winiarskiego w Warszawie Nowy Świat Nr. 62.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 27 Апрѣля 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 20 r. 1881.

HISTORYA PEWNEJ PARYŻANKI,

przez

OKTAWIUSZA FEUILLET,

Członka Akademii francuzkiej.

Przekład

J. BELEJOWSKIEJ.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Nie można utrzymywać że wszystkie mające wyjść za mąż dziewczęta są aniołami — ale to pewna, że są między niemi anioły. Co więcej, nie jest to nawet rzadkością, i — co może dziwnem się zdawać — może częściej niż gdzieindziej zdarza się to w Paryżu. Przyczyna tego bardzo prosta; w potężnej cieplarni paryzkiej, tak cnoty i występki, jako też i talenta, dosięgają najwyższego stopnia rozwoju, doskonałości lub zbrodniczości. Nie ma na świecie miejscowości, w której możnaby oddychać truciznami bardziej zjadliwemi, i milszemi więcej ożywczemi wonnościami. Nigdzie także ładna kobieta nie jest ładniejszą, dobra, lepszą jak w Paryżu.

Wiadomem było, iż chociaż margrabina de Latour-Mesnil była jedną z kobiet najładniejszych i najlepszych zarazem, nie była przecież bardzo szczęśliwa w pożyciu z mężem; nie dlatego aby miał być tak złym człowiekiem, ale że zanadto lubił się bawić a nie bawił się z żoną. Z tego powodu zaniedbywał ją bardzo, i biedna wiele łez wylała w cichości, a on ani tego nie widział, ani się troszczył. Umarł nareszcie zostawiając żonę pod smutnem wrażeniem złamanego życia. Lecz że była to istota łagodna, dobra i za mało się ceniąca, sobie więc a nie mężowi przypisywała winę, i chcąc córkę uchronić od podobnego losu, dokładała wszelkich usiłowań, aby ją wychować na kobietę wyższą i odznaczającą się pod każdym względem, zdolną utrzymać miłość w małżeństwie. Podobnie wzorowe wychowywanie dzieci, tak w Paryżu jak i wszędzie zresztą, bywa jedyną pociechą wdów, tych nawet, których mężowie jeszcze żyją.

Niebo obdarzyło pannę Joannę de Latour-Mesnil wszelkiemi przymiotami, sprzyjającemi urzeczywistnieniu się macierzyńskiej ambicyi.) Otwarty jej i bystry umysł już od lat dziecinnych nadawał się wybornie do tej doskonałej uprawy, a gdy podrosła, najlepsi nauczyciele wykładali jej pod czujnym nadzorem matki, nauki, talenta i wiadomości, oraz zaszczepiali gusta i upodobania, stanowiące umysłową ozdobę kobiety. Pod względem moralnej edukacyi, jedynym jej mistrzem była własna matka, i samo już ciągłe przestawanie z tak czystą i cnotliwą kobietą, uczyniło z niej równie przykładną i wzorową istotę.

Do powyższych zalet, panna de Latour-Mesnil łączyła jedną jeszcze którą słabość ludzka ,bardzo bierze w rachubę — była bardzo ładna. Miała piękną postawę i ruchy pełne niewysłowionego wdzięku, minkę nieco dziką i rumieniła się jak dziecko. Zdawało się że kłopotało ją jakieś nieokreślone poczucie swej wyższości, którego wstydziła się i dumną była zarazem. Sam na sam z matką była wylaną, pełną zapału i bardzo rozmowną, w towarzystwie stawała się nieruchomą i niemą jakby piękny kwiat, i tylko prześliczne jej oczy mówiły wiele.

Spełniwszy z pomocą Bożą piękne swe zadanie, margrabina ¿chętnie byłaby odpoczęła nieco — i miała do tego najzupełniejsze prawo — ale nie ma spoczynku dla takich matek; to też stała się teraz łupem gorączkowego niepokoju, zrozumiałego dla wielu czytelniczek. Joanna miała rok dziewiętnasty, trzeba więc było myśléć o jej zamąż-pójściu, a jakże to ważne, jak uroczyste dla matek zadanie! I nie dziwi nas ich niepokój, ale raczej że nie jest on silniejszym jeszcze. Lecz jeźli każdą matkę w tej stanowczej chwili, śmiertelne dręczyć muszą obawy, cóż dopiero tak cnotliwą jak pani de Latour-Mesnil, która tak wzorowo wychowała córkę, i czystemi swemi rękami tak urobiła tę młodą duszę i to młode ciało, iż wydoskonaliła, oczyściła i jakby uduchowiła wszelkie ich instynkta i skłonności. Czyż taka matka nie jest zmuszona powiedzieć sobie, że podobnie doskonałą dziewicę dzieli od większości mężczyzn uwijających się po naszych salonach i ulicach, tak głęboka przepaść umysłowa i moralna, jak zachodząca między nią a murzynem z Zululandu. Czyż może nie pomyśléć iż wydać córkę za jednego z tych mężczyzn, jest to rzucić ją na pastwę najgorszego mezaliansu i poniżyć niegodnie własne swe dzieło. W podobnych razach odpowiedzialność matek jest tem cięższą, iż najczęściej młode dziewczęta nie są w stanie przyjąć ważnego udziału w wyborze męża. Z małym bardzo wyjątkiem, z ufnością oddają serce przeznaczonemu im narzeczonemu, przypisując mu wszelkie upragnione przez się przymioty.

Miała więc słuszność pani de Latour-Mesuil, bardzo żywo się niepokojąca, aby dobrze wydać za mąż córkę. Trudno byłoby pojąć co kobieta tak uczciwa i ukształcona rozumiała przez dobre wydanie córki, gdybyśmy nie widzieli codziennie że najboleśniejsze doświadczenie własne, największa miłość macierzyńska, najdelikatniejszy umysł, a nawet najgłębsza pobożność, nie są jeszcze dostateczne do wykazania matkom różnicy zachodzącej między świetnem a dobrem małżeństwem. Zapewne może się zdarzyć, i niezawodnie najlepiej jest jeźli można połączyć jedno z drugiem, ale należy pamiętać o tem że małżeństwo świetne często nie bywa dobrem, ponieważ olśniewa a tem samem zaślepia.

Dla młodej osoby, mającej jak panna de Latour-Mesnil, wnieść mężowi 500,000 fr. posagu, pretendent posiadający 3 lub 4 miliony fr. — to świetne zamążpójście — i doprawdy, zdaje się że nie potrzeba aż tyle do szczęścia kobiety. Ale z drugiej strony przyznacie iż trudno odmówić przyjęcia czterech milionów, jeźli je ktoś ofiaruje; otóż w r. 1872 baron de Maurescamp ofiarował pannie Joannie de Latour-Mesnil sześć czy siedm milionów, za pośrednictwem wspólnej przyjaciółki a dawnej swojej kochanki, ale dobrej kobieciny.

Pani de Latour-Mesnil odpowiedziała: iż oświadczenie to bardzo jej pochlebia, prosi jednakże o kilka dni do namysłu i zasięgnięcia niektórych wiadomości; zaledwie jednak pani ambasadorka wyszła z salonu, co prędzej pobiegła do córki i zalana łzami zaczęła ją ściskać i całować.

— A więc mąż się zjawia? rzekła Joanna, wlepiając w matkę swe wielkie ogniste oczy.

Matka twierdząco skinęła głową.

— Któż to jest? zapytała Joanna.

— Baron de Maurescamp!... Ach! dzięcię moje, to za nadto świetne!

Przyzwyczajona wierzyć w nieomylność matki i widząc ją tak szczęśliwą, Joanna bez wahania podzielała jej radość, i obie te ukochane istoty długo, długo zamieniały z sobą łzy i pocałunki. Przez ośm dni następnych, które jak się to szczerze zdawało pani de Latour-Mesnil, poświęcone były poważnym wywiadywaniom o osobistość i charakter pana de Maurescamp, w rzeczywistości starała się tylko zamykać oczy i uszy, aby żaden odgłos nie przerywał jej marzeń. A zresztą cała jej rodzina i przyjaciele tak gorąco winszowali tak świetnej partyi dla córki, w oczach współzawodniczących matek czytała tak ogromną zazdrość, iż wszystko to musiało silniej jeszcze utwierdzić ją w jej przekonaniu i powziętem postanowieniu. Tak więc oświadczenie pana de Maurescamp zostało formalnie przyjęte.

Wszakże bywają małżeństwa daleko śmieszniejsze jeszcze; takie naprzykład które zawierają się po jednem widzeniu w loży w jakimś teatrze, między zupełnie nieznanemi sobie osobami, które później za nadto dobrze się poznają. Pani de Latour-Mesnil i jej córka spotykały przynajmniej niekiedy w towarzystwach pana de Maurescamp; nie znały go bliżej ale widywały tu i owdzie, wiedziały jego nazwisko, znały jego powozy — zawsze więc to przecież coś znaczyło.

Zresztą pan de Maurescamp przedstawiał pewne bardzo ponętne pozory. Był to mężczyzna trzydziestoletni, prowadzący dość pańsko świetne i wesołe życie paryzkie. Tytuł odziedziczył po dziadku który był jenerałem za pierwszego cesarstwa, majątek zaś po ojcu, który uczciwie własną pracą dorobił się go w przemyśle. On sam, dzięki swemu pięknie brzmiącemu tytułowi, posiadał kilka intratnych synekur w wysokich sferach finansowych. Jedynak i milioner, więc poczawszy od matki psuli go wszyscy, służba, przyjaciele i kochanki. Jego zaufanie w sobie, przekonanie o swej wyższości i wielki majątek, imponowały światu, i dla tego nie brakło mu wielbicieli. W klubie słuchano go z pewnem poszanowaniem. Przesycony wszystkiem, sceptyk, szydzący zimno i wyniośle ze wszystkiego co tylko nie było praktycznem, a przytem wielki nieuk, mówił głosem silnym, stanowczo i zarozumiale. O niektórych sprawach tego świata, a szczególniej o kobietach, które bardzo lekceważył, wyrobił sobie pewne bardzo nieciekawe pojęcia, które podnosił do godności zasad i systematów, z tego jedynie tytułu, że miały zaszczyt od niego pochodzić. „Mam za zasadę... Z zasad moich wynika.. Taki jest mój system.... Na mocy mego systemu...." Oto formułki jakie co chwila miał na ustach. Gdyby się był urodził ubogim, byłby tylko został pospolitym człowiekiem, jako bogacz — stał się głupcem.

Nie zastanawiając się głębiej, dziwnem zdawać się może, iż taki człowiek wybrał za żonę pannę de Latour-Mesnil — przedewszystkiem kierowała nim bezmierna próżność, a potem wyrachowanie. W wielkim świecie paryzkim uważano ją za uosobioną doskonałość; nawykły niczego sobie nie odmawiać i mieć przed wszystkimi pierwszeństwo, miał sobie za chlubę przywłaszczyć sobie ten kwiat tak rzadki. Dalej, miał za zasadę, że najlepszym środkiem ochronnym od nieszczęścia w małżeństwie, jest poślubienie osoby doskonale wychowanej. I przyznać trzeba że nie była to zła zasada; tylko że pan de Maurescamp nie wiedział tego, iż chcąc jedną z tych wybornych roślin wyrwać z cieplarni macierzyńskiej i przesadzić z powodzeniem na grut małżeństwa, trzeba być pierwszorzędnym ogrodnikiem.

Pan de Maurescamp był wysoki, ładny, miał kolory nieco za mocne, obejście nacechowane trochę ciężką elegancyą. Nadzwyczaj silny, nie pomijał nic co mogło zwiększać jeszcze i wyrabiać jego siłę. Codziennie rano gimnastykował się z hendlami, fechtował się i dwa razy dziennie kąpał się w wodzie zimnej jak lód. Oto jakim był moralnie i fizycznie człowiek któremu pani de Latour-Mesnil powierzała przyszłość swej córki-anioła, uważając ten wybór za szczęśliwy i rozumny zarazem.

Wprawdzie na jej wytłomaczenie powiedzieć można to, co i o wielu matkach w podobnem położeniu: szczerze pokochała przyszłego zięcia, przez serdeczną wdzięczność że wyróżnił i wybrał jej córkę. Uważała go za bardzo rozumnego i dowcipnego, skoro umiał ocenić wysokie ukształcenie Joanny, oraz za człowieka uczciwego i delikatnego, ponieważ przełożył piękność i przymioty jej córki, nad wyraźniejsze korzyści.

Co do Joanny, ta, jak powiedzieliśmy, gotowa była przyjąć z ufnością wybranego przez matkę narzeczonego. Prócz tego, jak wszystkie zazwyczaj dziewczęta, gotowa była wzbogacić i ozdobić osobistemi przymiotami pierwszego mężczyznę, któremu jej kochać pozwalano, przyodziać go własną poezyą, uczynić odbiciem własnej swej piękności moralnej, przetworzyć go i otoczyć własnem swem czystem promieniowaniem.

Trzeba też przyznać, że zostawszy przyjętym, pan de Maurescamp starał się aby jego obejście, postępowanie i mowa odpowiedziały poniekąd ideałowi przyjemnego i zakochanego, narzeczonego jaki może osnuć wyobraźnia młodej dziewczyny. Wszyscy narzeczeni znający świat i posiadający dobrze napełniony pugilares, bywają zazwyczaj bardzo do siebie podobni; cukry, bukiety, klejnoty, wszystko to składa się na otoczenie ich pewną dostatecznie poetyczną aureolą. Dalej, nawet najmniej romantyczni, czują instynktowo iż w takich razach trzeba się zaopatrzyć w pewien zapas idealności, i nie rzadko zdarza się słyszeć mężczyzn przemawiających z poetycznem uniesieniem w obec swych narzeczonych, po raz pierwszy i ostatni w swojem życiu, tak niby jak przemawia się do dzieci i piesków, których pragnie się pozyskać względy.

Dla panny de Latour-Mesnil słodkie te złudzenia i zachwyt dotrwały do czasu odebrania wspaniałych i drogocennych podarunków ślubnych, i poważnie wspaniałego małżeństwa religijnego. W tym dniu uroczystym, klęcząc u stóp wielkiego ołtarza w kościele Św. Klotyldy, w pośród prześlicznych otaczających ją kwiatów i blasku niezliczonych świec, ręka w ręku męża, z sercem przepełnionem pobożną wdzięcznością i szczęśliwą miłością — Joanna dotykała nieba.

Śmiało można twierdzić że oprócz tych uroczych godzin, dla trzech części kobiet małżeństwo jest tylko gorzkiem rozczarowaniem i zawodem. Ale zbyt słabe to wyrazy, jeźli chcemy wyrazić co może uczuwać wyższy umysł i szlachetna, wzniosła dusza, w pożyciu małżeńskiem z człowiekiem zbyt trywialnym. Pod względem sposobu podobania się kobietom i utrwalenia ich przywiązania do mężów, pan de Maurescamp miał pewne swoje zasady, które trudno wyrazić przyzwoicie. Dość powiedzieć że według niego miłość zasadzała się jedynie na zmysłowości, a cnota kobiet na jej zadowolnieniu.

Pan de Maurescamp mylił się co do czasu: może teorye te jego mogły być prawdziwe [illegible]ch oddalonych wiekach, kiedy to mężczyzna i kobieta zaledwie różnili się od zamieszkujących jaskinie niedźwiedzi;—ale zapomniał że młoda ucywilizowana Paryżanka, uszlachetniona wyższą edukacyą i starannem wychowaniem, nie przestaje zapewne być kobietą, ale najniezawodniej przestaje być zwierzęciem. Zdarza się wprawdzie niekiedy że wraca do stanu dzikości, ale najczęściej mąż to ją do tego popycha.

II.

Zaraz w pierwszych dniach po ślubie, objawiała się między młodem małżeństwem pewna obustronna oziębłość; co do niej, była to gorycz że miłość i namiętność tak różniły się i bynajmniej nie odpowiadały temu czego po nich oczekiwała; co do niego, była to uraza pięknego mężczyzny, dotkniętego tem że nie oceniano go należycie. Jednakże mimo chaosu jaki zapanował w umyśle pani de Maurescamp, okazywała matce i światu niczem niezamącony spokój i pogodne czoło, co dowodzi jak doskonale kobiety umieją panować nad sobą i ukrywać doznawane wrażenia. Jednakże urządzenie nowego swego życia w przepysznym pałacu przy ulicy Alma; roztargnienie jakie sprawiały jej bale i zabawy witające jej zamążpójście; dom utrzymywany na nader świetną i pańską skalę; przepyszne powozy i toalety, wszystko to nie dopuszczało w pierwszych czasach pożycia poważniejszego zastanawiania się i zniechęcenia. Ale rozkosze, jakie zapewnić może zbytek i życie materyalne, prędki sprowadzają przesyt; a potem nie były one znów zupełną nowością dla panny de Latour-Mesnil. Nadto wychowana i utrzymywana przez matkę w zbyt podniosłych sferach, nie mogła zadowolnić się błahostkami światowego życia, i wśród odurzającej jego wrzawy co chwila ogarniała ją tęsknota do swoich wyżyn. Najdroższem młodocianem jej marzeniem było wieść nadal z mężem, w najtkliwszem i najściślejszem dwóch dusz zjednoczeniu, to podniosłe, idealne życie w jakie wtajemniczyła ją matka, podzielając jej ulubione czytania, myśli, wierzenia i pojęcia, i nakoniec jej pełne zapału uniesienia na widok pięknej przyrody lub znakomitych utworów geniuszu. Łatwo pojąć o ile pan de Maurescamp mógł urzeczywistnić podobny program. Pozbawił najzupełniej żonę tego życia idealnego, tak zbawiennego dla wszystkich, tak niezbędnego dla kobiet, i to nietylko przez trywialność i nieuctwo, ale i stosując się do swego systemu; miał bowiem pod tym względem za zasadę że romantyczne pojęcia są prawdziwą, a nawet jedyną przyczyną upadku kobiet. Z niej wychodząc, uważał iż wszystko co może rozpłomieniać wyobraźnię, poezya, muzyka, wszelkie sztuki piękne a nawet religia — tylko w nader małych dawkach mogą im być dozwolone. Nie jednokrotnie młoda żona próbowała obudzić w nim zajęcie do tego co ją zajmowało; miała piękny głos, zaczynała więc śpiewać mu ulubione swoje utwory; lecz gdy tylko śpiew jej zdradzał głębsze, namiętniejsze uczucie, przerywał jej, wołając żartobliwie:

— Dość, dość, moja droga, nie śpiewaj tak czule i ognište, bo zemdleję!

Lubiła bardzo poetów i romansopisarzy angielskich; wychwalała mu ulubionego swego Tennyson'a i zaczęła tłomaczyć jakiś ustęp; zamiast słuchać, pan de Maurescamp drwił i dowcipkował po swojemu, a nareszcie zaczął krzyczeć i pięściami w stół uderzać, aby ją zagłuszyć. Tym sposobem chciał zniechęcić ją do poezyi, ani się domyślając że znie-

chęci ją raczej do prozy. Wszystko co tylko mogło wywierać na żonę jego żywsze wrażenie lub obudzać zajęcie, czy to w teatrze, czy na wystawach czy w podróży, przedrwiwał i wyszydzał z lodowatą obojętnością — zgodnie ze swoim systemem.

Tak więc, powoli, pani de Maurescamp nauczyła się zamykać w sobie wszelkie doznawane wrażenia i uczucia, jakie dla osób szlachetnych i delikatnych stanowią całą wartość życia. Nie widząc wybuchających na zewnątrz płomieni, pan de Maurescamp wmówił w siebie że je zagasił, i wielce się z tego chełpił:

— Te szatanki kobiety, mówił do przyjaciół w klubie, lubią bardzo wznosić się gdzieś pod obłoki, co zawsze źle się kończy. Co do mnie, poślubiłem młodziutką i zdmuchnąłem odrazu wszelkie jej romantyczne niedorzeczności... teraz już jest zupełnie spokojna — i ja także!... Miły Boże! kobieta powinna bawić się, kręcić, biegać po magazynach, wizytować przyjaciółki, polować, jeździć konno — oto co jedynie dla niej właściwe — bo nie dozwala myśleć i marzyć... Niechno tylko zacznie siedzieć w domu, aby rozmyślać i romansować z Chopin'em lub Tennyson'em — bywaj zdrów!.. wszystko stracone!... Oto mój system!

Niepodobieństwem było aby nędzota tego systemu i cała niższość umysłowa męża mogła długo ujść baczności tak wysoko ukształconej pani de Maurescamp; to też prędko bardzo przestała jej imponować mniemana jego wyższość i rażąca pewność siebie. Mężczyźni nie zawsze dobrze znają swoje żony, ale kobiety zwykle doskonale znają swoich mężów. Nim rok upłynął opadły ostatnie uroki, rozwiały się resztki złudzeń i pani de Maurescamp musiała powiedzieć sobie iż na całe życie przykutą była do człowieka zbyt poziomego i ograniczonego, jakoteż postrzedz z niewymownem przerażeniem iż pogardzała mężem. Jest to wielką zaletą i zasługą kobiety, jeźli po tak bolesnem odkryciu potrafi zostać dobrą i uległą zoną — pani de Maurescamp posiadała je, ale aby temu podołać, musiała często bardzo przywodzić sobie na pamięć że była chrześcianką, i że religia nakazuje poświęcenie i korne poddanie się próbom i doświadczeniom, jakie nas przygniatają w życiu.

Z radością jednak powitała dość przewidziane zresztą wydarzenie, jakie nastąpiło w końcu drugiego roku jej zamęścia, obiecując jej pociechę i zarazem, na pewien przynajmniej czas pożycia, pewną niezależność i odosobnienie. Jakoż niezadługo przyjście na świat syna dozwoliło jej zakosztować pierwszej od dnia ślubu czystej i zupełnej radości; jest to zazwyczaj jedyne w małżeństwie szczęście, urzeczywistniające nasze rojenia.

Jak łatwo odgadnąć, pani de Maurescamp postanowiła sama karmić syna, i obowiązek ten spełniała z tem większą radością, iż dozwalał jej zyskać na czasie i przedłużał bardzo pożądany dla niej stosunek z mężem. Ale nadszedł nareszcie czas iż trzeba było odstawić dziecię od piersi; myślała o tem z trwogą, ale nad wszelkie spodziewanie oswobodzenie przyszło zkąd go najmniej oczekiwała. Podobnie urocza i szlachetna istota, zdolna była natchnąć i odczuć najglębszą, najgorętszą i najstalszą zarazem miłość, godną zająć miejsce wśród nieśmiertelnych kochanków, których niezmienne, bezgraniczne uczucia uświęciła historya i legenda. Ale miłość pana de Maurescamp nie zawierała w sobie żadnego niezmiennego żywiołu, była to — używając tegoczesnego wyrażenia — miłość naturalistyczna — a choć te naturalistyczne miłości, bynajmniej nie podobne do róży, są jednak krótkotrwałe jak ona. Już od dość dawna powiedział on sobie i dawał do zrozumienia przyjaciołom, iż zaślu[illegible] posąg mile nęcący oko, ale którego lodowate [illegible] odstręczałoby samego Pigmaliona. Tylko najczęściej wyrażał się nie tak przyzwoicie, chętniej zapożyczając swych porównań z historyi naturalnej niż z mitologii. Ponieważ z natury pan de Maurescamp był bardzo zazdrośnym, więc w gruncie nie bardzo gniewała go okoliczność, którą uważał za rękojmię domowego bezpieczeństwa i spokoju. Nareszcie obrażony że nie umiano się na nim poznać i ocenić, zniechęcony oziębłością, znalazł sobie milsze po za domem zajęcie i odsunął się od żony, która wcale nie probowała go zatrzymać.

III.

Że żona zrzeka się miłości męża, nie można jeszcze z tego wnosić, jak to czynił pan de Maurescamp, że zrzeka się miłości w ogóle. Po pierwszych rozczarowaniach źle dobranego związku, kobieta zaczyna otrząsać się z przykrych wrażeń, wchodzić w siebie i rozmyślać. Wraca do przerwanych marzeń, odtwarza ideał zachwiany chwilowo, mówi sobie — i nie bez słuszności — iż niepodobna aby świat bez powodu miłość tak wielkim otaczał rozgłosem; iż niemożebnem jest aby wielka ta namiętność, zapełniająca karty bajecznych podań i historyi, opiewana przez wszystkich poetów, której wszelkie sztuki cześć składają, ten wiekuisty przedmiot rozmowy i ludzi i bogów, w rzeczywistosci był tylko próżną, a nawet niemiłą mrzonką. Nie może pojąć aby tak nędznemu bóstwu tak głębokie składano hołdy, aby z wieku na wiek wznoszono tak wspaniałe ołtarze, dla tak płaskiego bożyszcza. Tak więc pomimo wszystkiego i wbrew wszystkiemu, miłość pozostaje głównym przedmiotem jej ciekawości i rozmyślań, nieustannem jakby opętaniem jej serca. Wie że ona istnieje, ze inni ją poznali i z trudnością poddaje się tak smutnej doli, aby miała, nie zaznawszy jej, żyć i umierać.

Wielkie zagraża niebezpieczeństwo kobiecie, jeźli pomimo zwykłych zawodów i rozczarowań napotykanych w małżeństwie, przechowuje w duszy i podsyca ten ideał nieznanej miłości, — ale większe jeszcze jeźli go postrada.

W owym czasie pani de Maurescamp zaprzyjaźniła się bardzo z panią d'Hermany, starszą od niej o dwa czy trzy lata. Jeźli w sercu kobiety uczciwej i pragnącej nie zstąpić z tej drogi, panuje próżnia, zazwyczaj przyjaźń staje się jej ucieczką. Jakkolwiek zadowolniona z pozyskanej niezależności, Joanna de Maurescamp miała zaledwie lat dwadzieścia cztery, i sama jej uczciwość nakazywała jej lękać się zapowiadającej się długiej przyszłości osamotnienia i cierpień moralnych. Matce nie chciała wyjawiać swych smutków aby się nie zdawało iż jej wyrzuca; syn był jeszcze za mały; religia zachwiała się nieco w jej duszy pod szyderskiem tchnieniem światowego indyferentyzmu, potrzebowała więc koniecznie jakiejś podpory i pociechy zaufanej istoty z którą mogłaby dzielić się swojem cierpieniem, powierzać najskrytsze myśli. Z tych powodów z całym zapałem tkliwej, nieco rozexaltowanej duszy, rzuciła się w objęcia przyjaciółki, mającej stać się dla niej arką zbawienia.

(D. c. n.)

PEŁNOLETNOŚĆ PANNY BRIDOT.

PRZEZ

KAROLA DESLYS.

przekład

K. P.

(Dokończenie).

Jednocześnie na dworze odezwało się skomlenie psa.

Bonami, Gorju, Bouquaille, Bayador widocznie tem przestraszeni, zaczeli się przysłuchiwać niespokojnie.

Pies zaczął szczekać powtórnie, ale teraz już prawie przy drzwiach starego młyna.

— Bob! zawołała Teresa, to Bob! przybiegł tu za moim śladem!

— I zapewne, dodał drżący już ze strachu Bonami, sprowadzi nam tu wszystkich poszukujących pani. A! przeklęte psisko! Jeźli nie przestanie szczekać, jesteśmy zgubieni!

— Nie bój się! zawołał Dzik, chwytając fuzyę. Uciszę go zaraz.

Wybiegł do pierwszej izby; pies zaszczekał raz jeszcze, potem usłyszano wystrzał a następnie krótkie bolesne wycie, i wszystko ucichło.

Teresa chciała biedz na ratunek biednego Boba, ale dwaj pozostali złoczyńcy zastąpili jej drogę. Upadła napowrót na krzesło zamykając oczy i zasłaniając rękami uszy.

— Śpieszmy się! zawołał Bonami, rozkładając na stole papiery drżącemi rękami. Proszę podpisać.

— Nie! odpowiedziała Teresa.

— Czy podpiszesz? krzyknął Gorju.

Nabił już pierwej fuzyę, a teraz celował prosto do niej.

— Nie, powtórzyła stanowczo i spokojnie.

— Ha! tem gorzej dla ciebie. Jeźli nie pieniędzmi to krwią mi zapłacisz!

Szczęściem margrabia zdążył przybiedz do nędzników i odwrócić broń grożącą Teresie.

Jednocześnie zapukano gwałtownie do drzwi młyna. Złoczyńcy stanęli nagle jakby skamienieli.

— Otwierajcie! krzyknął razem Vauquelin, Raymund i Jacquemart.

Następnie zaczęli tak silnie uderzać w nadpruchniałe drzwi kolbami, że wkrótce drzewo zaczęło się rozstępować i odpadać kawałkami.

Bonami, otrętwiały prawie ze strachu, szczękał zębami jak w przystępie febry i bąkał coś niezrozumiale. Bouquaille szukał oczyma czy nie znajdzie drzwi któremi mógłby wysunąć się nieznacznie. W Dziku zbudziło się jeszcze silniejsze uczucie nienawiści.

— Ha! zawołał, mniejsza o życie, byle się zemścić!

Drzwi tak już trzeszczały iż łatwo było przewidzieć że lada chwila rozsypią się w kawałki. Gorju stał przed niemi ze strzelbą w ręku, czekając aby oblegający przebili je na wylot. Nie chciał strzelać naprózno, pragnął zabić przynajmniej jednego.

— Kula dla pierwszego który się tu pokaże! dla innych kolba, zawołał stanowczym głosem.

Wszystko to następowało tak szybko po sobie, że zaledwie przerażona Teresa zdołała krzyknąć; zrobiono już pierwszy otwór we drzwiach. Gorju zobaczył przez niego Jacquemart'a, i strzelił.

— Chybiłeś kochanku! zawołał wesoło, prawie natychmiast, artysta. Uderzył raz jeszcze we drzwi, szerokim już wyłomem przecisnął się do izby, i stanął naprzeciwko swego Hurona z nad stawu Mont-Saint-Jean.

Dzik uchwycił już swą strzelbę za lufę i chciał posługiwać się nią jak maczugą, gdy Jacquemart zawołał, przykładając mu prawie do piersi pistolet.

— Niechaj brat mój, Przebiegły-Lis, odrzuci swój tomahank, bo inaczej Blada-twarz pośle go sznelcugiem na Szczęśliwe łąki, oskalpelowawszy mu pierwej czuprynę.

Tymczasem Vaucquelin pilnował Boucquaille'a, Raymund zaś przybiegł do margrabiego i zawołał głosem pełnym oburzenia:

— Pan razem z nimi!... pan! szlachcic, człowiek wykształcony!... Przypłacisz pan drogo za swój udział w tej niecnej sprawie!

Bonami na pół żywy skrył się pod stół.

Dwaj służący stanęli przy drzwiach ze strzelbami w ręku, gotowi śpieszyć na pomoc panom.

Henryeta drżąca jeszcze z obawy, pobiegła do Teresy i zarzuciła jej ręce na szyję.

Teresa zachowała zupełną przytomność umysłu. Usłyszała co Raymund mówił do margrabiego, i rzekła:

— Ani słowa więcej, panie de Bussières!... Dałam słowo panu margrabiemu że...

— Słowo? Czy to być może?

Hidalgo podniósł głowę. Czuł się bezpieczniejszym.

— Panie Vauquelin, odezwała się znów Teresa, czy wszystkie formalności prawne są już dopełnione?

— Bezwątpienia! Dziś rano podałem do trybunału prośbę o rehabilitacyę pana Bridot. W godzinę później przyjmowałem u siebie wszystkich, którzy mogli mieć jakiekolwiek pretensye do twego ojca... z wyjątkiem tych oto panów, z którymi chciałem pomówić dziś wieczorem i którzy źle wyjdą na swej niecierpliwości. Powiedziałem wszystkim znajdującym się w Paryżu — zechciej słuchać mnie uważnie, panie de Bussières, gdyż głównie ze względu na pana powtarzam moje słowa — powiedziałem więc: Pan Bridot został zbyt późno objaśnionym co do pewnych faktów, aby mógł nawet testamentem wynagrodzić, o ile to być może, nieszczęścia, których pomimowolnie stał się przyczyną. Jednak oznajmił mi ustnie swą ostatnią wolę. Nie mając wszakże formalnego upoważnienia, i nie mogąc otrzymać go od panny Bridot, zanim dojdzie do pełnoletności, wzywam was teraz dopiero w jej imieniu. Przynieście jutro wasze dowody, a równie drobne, jak najznaczniejsze sumy zostaną wypłacone.

— Co pan mówi? odezwał się Bouquaille.

— Jakto! zawołał Gorju, zapłacą nam?....

— O! wy nic nie dostaniecie! odpowiedział surowo Vauquelin.

— Nie! rzekła Teresa, i tym nieszczęśliwym trzeba zwrócić wszystko. Utrata mienia doprowadziła ich do tego czem są obecnie; więc gdy je odzyskają, zostaną znów uczciwymi ludźmi.

— O! tak, tak, zawołali upadając na kolana przed Teresą, jakby ją prosili o przebaczenie.

Stała z oczyma wzniesionemi ku niebu, z wypogodzonem czołem. Można było sądzić że uśmiecha się do cienia ojca, dla niej tylko widocznego i uśmiechającego się także do niej.

— Niech i tak będzie, odpowiedział Vauquelin; ale pieniądze odbiorą dopiero na pokładzie statku którym odjadą do Ameryki.

— Gdzie mój brat, Przebiegły-Lis, pobrata się serdecznie z Czerwonoskórymi! odezwał się półgłosem Jacquemart.

Jednocześnie Bonami wysunął głowę z pod stołu.

— A ja, zapytał słodziuchnym głosem, czy mogę także przyjść do kasy, i...

— O! co do ciebie, panie Bonami, byłby to zbytek pobłażliwości, przerwał Vauquelin, a zresztą musielibyśmy płacić dwa razy, nieszczęśliwi od których za bezcen odkupiłeś prawa, odbiorą osobiście swą należność. Możesz ich zapozwać, jeżeli nie zbraknie ci na to odwagi.

Bonami wyprostował się nagle i syknął jak wąż przygnieciony czyjąś stopą.

— Nie zbraknie mi jej z pewnością, zawołał, biegnę natychmiast....

— I owszem; muszę jednak ostrzedz pana że pan prokurator cesarski dowie się jaką rolę odgrywałeś pan w tej sprawie. Wiele już słyszał o panu... mówił mi nawet, parę dni temu, że będzie musiał rozmówić się z panem z powodu jakiegoś innego nie zbyt czystego interesu. Możesz się pan udać do niego... Co do nas, nie potrzebujemy się już obawiać skandalu.

Bonami cofnął się z kwaśną miną. a wkrótce potem wysunął się cichaczem.

— Tereso, mówił dalej Vauquelin, muszę ci teraz zdać rachunki z opieki; ale nie zabierze nam to wiele czasu. Twój ojciec powierzył mi blizko trzy miliony franków; dopóki byłem twoim opiekunem obracałem je na kupno ziemi lub papierów procentowych, ale od kilku godzin, to jest odkąd zostałem twoim ojcem, ulokowałem je bezporównania korzystniej, tak aby ci przyniosły na zawsze szacunek poczciwych ludzi.

Wyciągnął do niej ręce, ona zaś rzuciła mu się na szyję, nazywając go swym ojcem, a tym samym przyznając mu tę godność którą już sam przyznał sobie, i która mu się należała tak słusznie.

Następnie ucałowawszy Henryetę odezwała się do Jacquemart'a:

— Musi pan teraz obniżyć cenę portretu: jestem obecnie równie jak pan ubogą.

— Jakto! zawołał Raymund niezdolny ukryć radości, więc pani już nic nie posiada! nic!...

— Nic, odpowiedział Vauquelin, prócz tego co my pozostawimy jej kiedyś... co, jak się spodziewam, nie nastąpi tak prędko.

Bayador nie umiał także ukryć doznawanego w tej chwili uczucia, twarz jego wyrażała gniew i zawiedzioną nadzieję.

— A! zapomniałam o panu margrabim, odezwała się Teresa, dałam mu słowo, i....

Zwracam je pani, przerwał hidalgo; nie dla tego że pani tak wspaniałomyślnie wyrzekła się majątku, ale ponieważ teraz dopiero spostrzegłem że serce pani nie do mnie należy. Do jutra, panie de Bussières, do jutra!

Ucieszony że znalazł sposób wycofania się z przykrego położenia, z honorem, jak mniemał, wyszedł z podniesioną głową.

— Panie Raymundzie, zawołała Teresa, ten pojedynek nie może przyjść do skutku...

— Mógłby dać powód do wniosków niekorzystnych dla naszej córki, dodała z żywością Henryeta.

— Pani, odpowiedział Raymund, schylając z uszanowaniem głowę przed Teresą, jutro matka moja będzie się starała wyjednać mi przebaczenie pani.

XII.

Nazajutrz wszystkie mniejsze i większe dzienniki zamieściły dwie ciekawe wiadomości.

O rehabilitacyi zmarłego Józefa Bridot, co było powodem że obsypywano Teresę pełnemi zapału pochwałami, i zdumiewano się nad jej bohaterskiem poświęceniem się dla oczyszczenia pamięci ojca.

Powtóre o pojedynku, który się odbył w okolicach Trouville, między hrabią Raymundem de Bussières i margrabią Bayador, któremu kula strzaskała szczękę, co jakikolwiek nie groziło mu śmiercią, oszpeciło go na zawsze.

We dwie godziny po tym pojedynku, matka Raymunda wchodziła z głębokiem wzruszeniem do zamku de Bussières, który tak niespodziewanie wrócił do jej syna.

Teresa spostrzegła ją najpierwsza i wybiegła na jej spotkanie.

Hrabina wsparta na jej ręce weszła do salonu.

Henryeta wraz z mężem ukazali się tam prawie jednocześnie.

— Panie Vauquelin, pani, odezwała się do nich hrabina, mam zaszczyt prosić was o rękę waszej przybranej córki, panny Teresy Bridot, dla mego syna, hrabiego Raymunda de Bussières.

— Ja! zawołała Teresa, nie zdolna powstrzymać pierwszego wybuchu radości; ja jego żoną!... O! nie!... to być nie może! Zawsze rozdzielać nas będzie...

— Tereso, przerwała hrabina, nic już nie pozostaje pannie Bridot z nieszczęsnego dziedzictwa po jej ojcu. Wraz z milionami znikły wszelkie plamy... Dlatego też przyszłam tu sama po moją przyszłą synowę.

Po krótkiem milczeniu, Teresa odezwała się z bolesnym wysiłkiem, ale dość stanowczym głosem:

— Nie!... nie!... Powinnam odpokutować... poświęcić się wyłącznie Bogu...

— Tereso, rzekła wtenczas Henryeta, Bóg jest wszędzie, i wszędzie mu służyć można, równie za kratą jak żyjąc wśród ludzi, a miłosierdzie...

— Nie nalegaj pani, przerwała hrabina de Bussières; rozumiem i umiem ocenić tę chęć wyrzeczenia się siebie, tę wstydliwość duszy. Pozostawmy to czasowi; mój syn wyjeżdża jutro do Rzymu, i wróci dopiero za sześć miesięcy. Mam nadzieję że w czasie jego nieobecności, Teresa nie zapomni o swej starej przyjaciółce, która z taką życzliwością wyciąga do niej rękę.

. . . .

W sześć miesięcy później Raymund i Jacquemart przypłynęli do Marsylli.

Hrabina de Bussières przybyła tam także chcąc powitać prędzej ukochanego syna.

Nie przyjechała jednak sama; towarzyszył jej Paweł Vauquelin z żoną i przybraną córką.

— Raymundzie, rzekła hrabina biorąc Teresę za rękę, przywozimy ci narzeczoną.

— A! przecie! pomyślał Jacquemart; ale nie łatwo doszliśmy do tego... Bądź co bądź, jeżeli kiedy będę miał dzieci, pozostawię im tylko majątek uczciwie nabyty, a przedewszystkiem głębokie poczucie honoru, i nazwisko wolne od wszelkiej skazy.

Opis do N-ru 20.

N. 1 — 2. Toalety weselne.

Ryc. 1 i 2 przedstawia z przodu i z tyłu bardzo strojną suknię odpowiednią na wesele, odrobioną z blado-niebieskiego atłasu i złotem przerabianej brokateli, ubraną koronką 8 cent. szeroką, złotem w tamborku wyszywaną. Pod panier ułożone w szerokie fałdy, podchodzą bryty przednie z brokateli, złożone w środku w szeroką, potrójną kontrafałde, a z boków zeszyte z brytami trenu, w górze suto zfałdowanego i podpiętego, u dołu gładko spadającego. Od spodu tren podgarnirowany jest balejezą oszytą walencienką, z wierzchu ozdobiony koronką suto zfałdowaną *à la vieille*, a w górze zakończoną dwoma 5 cent. szerokiemi plisowaniami przemarszczonemi. Na ryc. 2 dajemy inny skromniejszy a jednak ładny garnirunek trenu, któren stanowi szeroki atłasowy wolant, w równych odstępach plisowany i w kontrafałdy układany. Przód oszyty tylko plisowaniem 8 cent. szerokiem. Stanik z brokateli mający z tyłu baskinę frakową, z przodu długi bawet, zdobi berta z koronki lub fałdowanego atłasu, naszyta w sposób wskazany na ryc. 1 i 2. Kokardy ze wstążki lub podwójnie złożonego atłasu, bukiety z róż z długim trenażem z liści i drobnych kwiatków.

N. 3—9. Serweta na stolik pod serwis. Robota *macramé* i haft krzyżykowy.

Materyał: płótno lniane, nici *(Königsgarn)* N. 240, dobre nici szwajcarskie N. 80, jedwab dobry do prania ponsowy i niebieski

Model serwetki z niezbyt cienkiego, surowego płótna domowej roboty, miał 52 c. szerokości, a 180 długości, brzegi podłużne zdobiły wązkie szlaczki wyszyte jedwabiem ponsowym i niebieskim, ściegiem krzyżowym i podłużnym, na dwie strony jednakowym, którego probki dajemy na ryc. 3 i 4. Brzegi poprzeczne oszyte są frendzlą, której próbkę dajemy na ryc. 6, a nad którą w odstępie 9 cent. dany szlak szeroki robotą macramé, zakończony po brzegach gałązkami, wyszytemi jedwabiem ponsowym i niebieskim, którego próbkę w naturalnej wielkości dajemy na ryc. 5. Pod wyszycie nie podkłada się kanwy, bo nitki w niezmaglowanem płótnie odznaczają się wyraźnie, tylko krzyżyk robi się na 3 nitkach w kwadrat. Wstawka macramé takiej cienkości jak na próbce jest bardzo ładna, ale także bardzo pracowita i wielkiej wprawy wymagająca, robić ją trzeba wzdłuż, a nitki końcowe zamocować z lewej strony i uciąć po przydzierganiu wstawki do płótna.

N. 10. Frendzla z mignardiski i roboty szydełkowej.

Biała lub szara bawełniana, albo kolorowa lub czarna jedwabna mignardise, spajana igłą i robotą szydełkową, stanowi bardzo ładny nagłówek do frendzli, której promienie przywiązuje się sposobem widocznym na próbce.

N. 11. Koronka siatkowa zwana *„filet antique"*.

Model koronki odrobiony był z cienkich, białych nici, lecz podług podanej probki odrobić także można siatkę grubszą i odpowiednio rzadszą, może także siatka być kolorowa a cerowanie białe, albo na tle białem cerowanie złotem lub jedwabiem kolorowym, obwodzenie brzegów takim jak cerowanie lub odmiennym kolorem, daje się zawsze nitką lub jedwabiem grubszym.

Na próbce brzegi zębów są tylko wycięte, lepiej jednak przed wycięciem odziergać je dla mocy.

N. 12—15 Kapelusze słomkowe, formą kapotkową

Ażurowe słomkowe plecionki, naśladujące koronczarskie wyroby, bardzo używane są obecnie na kapelusze, z dodaniem kolorowej jedwabnej podszewki, albo w połączeniu z gładką słomką lub z bufkami z materyi. W N. 19 Tygodnika Mód podaliśmy takie kapelusze okrągłe, dziś dajemy cztery odmienne fasony kapotkowe.

N. 16. Dywanik. Haft pluszowy sznelą *„Arrasen"* i robota krzyżowa.

W N. 16 Tygodnika Mód z roku 1880 ryc. 39, podaliśmy próbkę i dokładny opis ściegu pluszowego, czyli haftu płaskiego sznelą. Środkowy deseń do ryc. 16 ułożony w starym perskim guście haftuje się ściegiem pluszowym, a szlaki zwyczajnym ściegiem krzyżowym. Piękność podobnej roboty głównie zależy na doborze kolorów, które nigdzie nie powinny odznaczać się jaskrawo, tylko łagodnie łączyć się i spływać jedne w drugie. Model zrobiony na grubej kanwie (N O) miał 107 cent. długości, a 67 szerokości; wielkość można z łatwością powiększyć, rozliczywszy ilość krzyżyków w ten sposób, ażeby kwadraty w szerokim szlaku całkowite i dobrze w rogach wypadały, a jeżeli jakaś zmiana była konieczną, to ją wykonać w figurach środkowych. Tło trzeba zawsze zaczynać od środka, a dodawać odpowiednio do szlaków po brzegach. Na ryc. 42 w N. 21 dajemy trochę więcej jak $1/4$ część trzech powtarzających się figur środkowego deseniu wraz ze szlaczkiem brzeżnym, któren także robi się ściegiem pluszowym. Na ryc. 41 podany jest narożnik szlaku szerokiego i zakończających go szlaczków wązkich; dalsze kwadraty szlaku szerokiego trzeba podług ryc. 16 wykończyć. Tło w kwadratach było na przemian zarabiane kolorem czerwonym pompejańskim, niebiesko-pawim i trawno-zielonym, przy dwóch ostatnich kolorach tła, czarno obrobione narożniki a na deseniu zapełnione kolorem żółtym i jasno-orzechowym zarabiać bronzowym i ponsowym. Skończony dywanik podszyć płótnem i oszyć grubym sznurem.



N. 1—2. Ubrania na uroczystości weselne.

N. 18—19. Serweta. Haft kolorowy w guście starożytnym.

Tak układ deseniu jak i rozmaitość ściegów zasługuje na uwagę, zwłaszcza że wykonanie nie jest trudne. Dlatego dajemy w naturalnej wielkości część deseniu, któren powtarza się od narożnika do narożnika, a którego zestawienie i przedłużenie oznaczone jest gwiazdkami i dwukropkami. Tło serwety stanowi niezbyt cienkie, białe lub niewarowe płótno domowej roboty, na którem kontury deseniu robi się ściegiem sznureczkowym, łańcuszkowym lub tamborkowym, kolorem ponsowym, niebieskim lub złotem; środek zapełniać ściegami dokładnie wskazanemi na deseniu, nićmi równemi zwanemi *„Königszwirn"*. Brzegi zakończone obrębem 3 cent. szerokim z kratką ażurową.

N. 21. Kapelusz okrągły słomkowy, ubrany sznelą i kwiatami.

Kapelusz ażurowy, podszyty atłasem blado-żółtym, ubrany był bardzo grubą sznelą ciemno-oliwkową, gwoździkami ciemno-ponsowemi i długim trenażem z bzu białego i liści.

N. 22—23. Dwie bluzki dziecinne.

N. 22. Ubranie dla chłopczyka.

Dogodne letnie ubranie składa się z szerokich majtek i na wierzch spuszczonej bluzki z szewiotu w paski popielate. Kołnierz marynarski i mankiety białe płócienne, krawatka jedwabna i takiż sznur w żywym kolorze.

N. 23. Ubranie dla dziewczynki.

Do fałdowanej w koło, popielatej, kaszmirowej spódniczki, bluzka zapinana na dwa rzędy guzikow, w pasie jedwabnym ponsowym sznurem przewiązana, zrobiona była z niebieskiej flanelki. Rękawki proste marszczone, wszyte są w szeroki, obciśle zapięty mankiet, któren prawie zupełnie pokrywa zwierzchni mankietek płócienny, ozdobiony równie jak kołnierzyk haftowanym szlaczkiem. Krawatka z ponsowej jedwabnej chusteczki, pończochy ponsowe.

N. 24 — 26. Ubrania do kapeluszy.

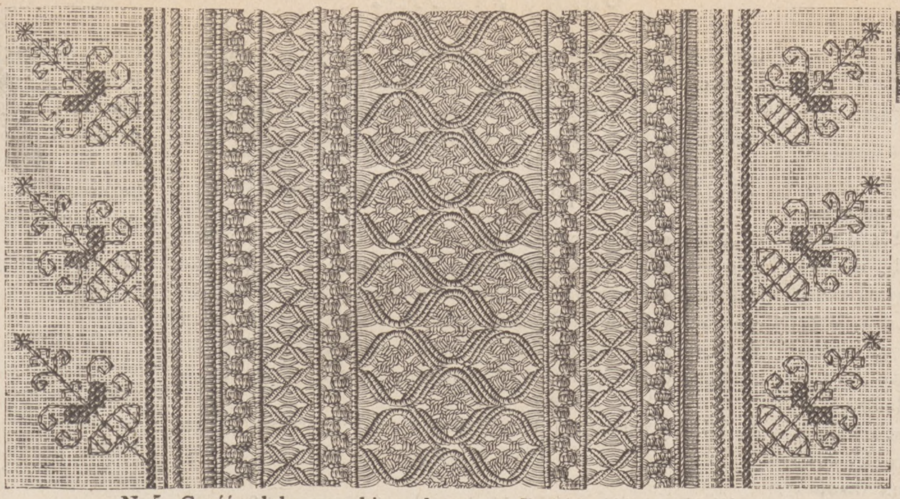
Pióra i kwiaty coroczne używane są do letnich kapeluszy, ale nowość modną w tym roku stanowić będą piękne i drogie ażurowe, słomkowe plecionki, naśladujące koronki. Ryc. 24 przedstawia ubranie do kapelusza w kształcie półgirlandki, ułożone z różnokolorowych maków i liści do cieniu. Na ryc. 25 podajemy bukiet z róż ciemno-ponsowych i blado-różowych z trenażem z liści do cieniu i kwiatów bzu aptecznego. Ryc. 26 przedstawia kitkę z piór czaplich, szerokich fryzowanych piórek i frendzli sznelowej w kolorze vieil-or.

N. 27 — 30. Pończochy dziecinne. Robota na drutach i wyszycie krzyżykowe.

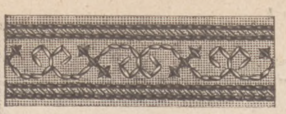
Sposobem wskazanym na próbce ryc. 29—30 można robić bardzo długie, średnie i krótkie pończoszki dziecinne. Próbki przedstawiają robotę z bawełny estramadura N. 5 lub N. 6; wiele piękniejsza lecz znacznie zmudniejsza będzie robota z bawełny cienkiej. Przy obydwóch pończoszkach na szlak górny obrabia się 42 razy, na przemian 2 oczka gładko, 2 kręto.



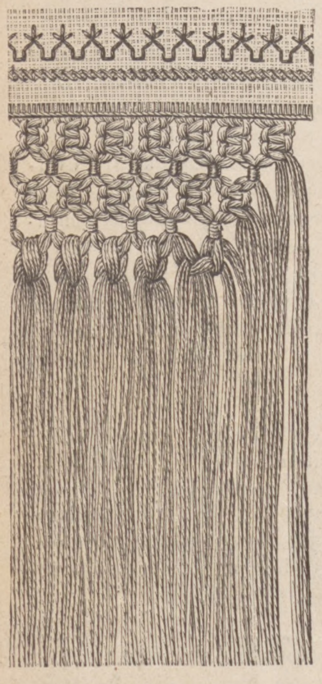
N. 3. Szlaczek na podłużne brzegi do serwety ryc. 9. Ścieg krzyżowy i pojedyńczy



N. 5. Część szlaku szerokiego do ryc. 9. Robota Macramé i wyszycie krzyżowe i ściegiem pojedyńczym.



N. 4. Szlaczek do ryc. 9. Ścieg krzyżowy i pojedyńczy.



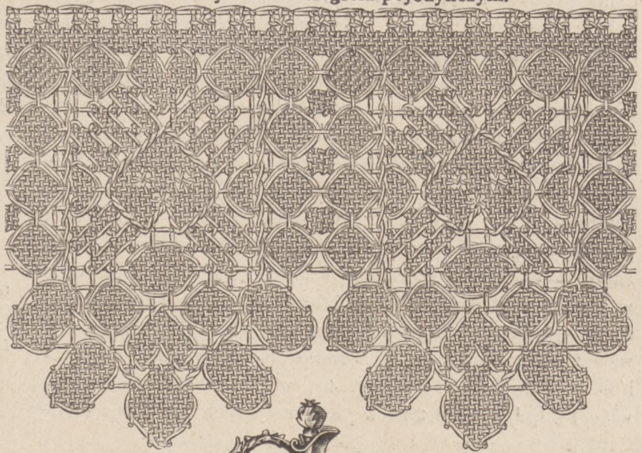
N. 6. Frendzla i szlaczek dolny do ryc. 9. Zobaczyć wiązanie nitek dodatkowych na ryc. 7.

N 27 i 30. Pończoszka w pasy poprzeczne ażurowe i gładkie.

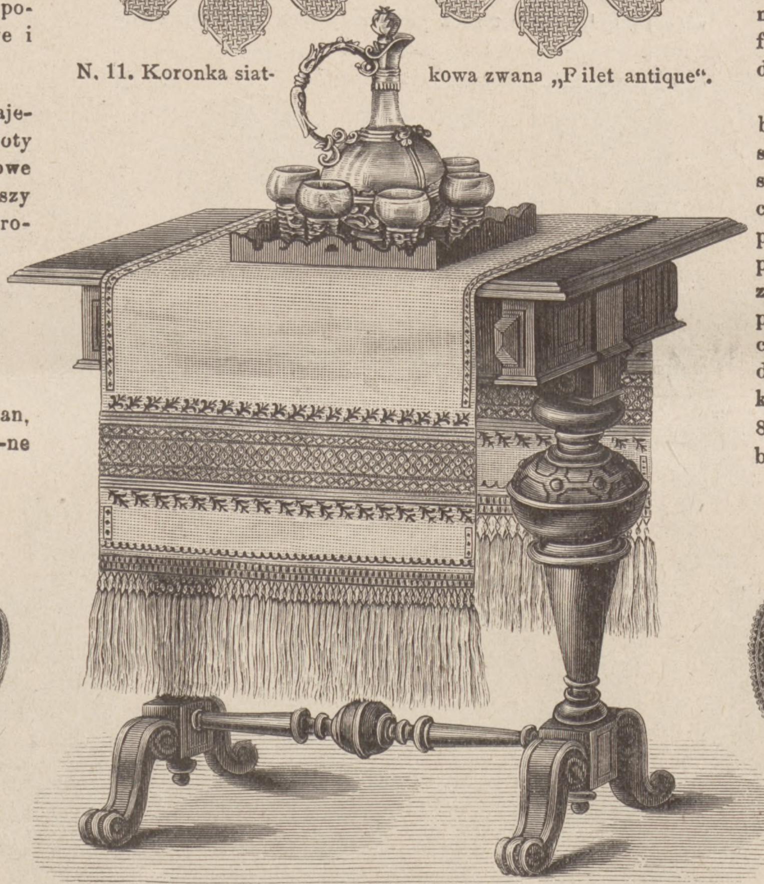
Na ryc. 30 dajemy próbkę roboty ażurowej i gładkiej, w pasy poprzeczne; na ażurowe pasy obrabia się w koło 12 razy, a na gładkie 1-szy i 10-ty raz gładko bawełną białą, 8 środkowych obrobień naprzemian 2 oczka z bawełny białej 1-ne z bawełny kolorowej.

N. 28 i 29. Pończoszka dziecinna w pasy podłużne z wyszyciem krzyżowem.

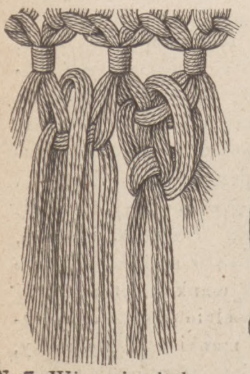
Na pasy podłużne obrabia się ciągle naprzemian, raz gładko, drugi 7 oczek gładko, 1-ne przybrać 1-ne zgubić, 1-ne przybrać 1-ne zgubić. Następnie na pasach gładkich wyszyć bawełną kolorową, krzyżykami, deseń mający 6 krzyżyków szerokości.



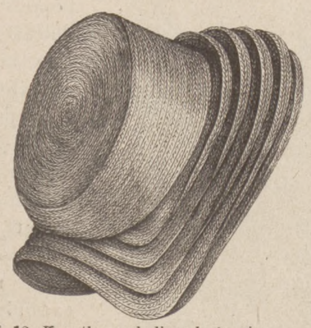
N. 11. Koronka siatkowa zwana „Filet antique".



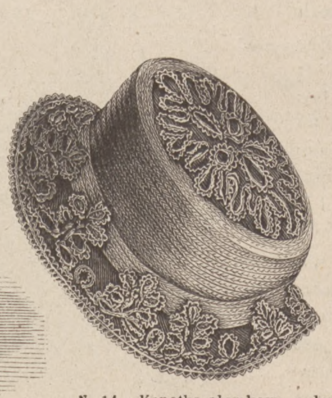
N. 9. Serweta na stolik z serwisem. Robota Macramé i krzyżowa. Zobaczyć także ryc. 3—8.



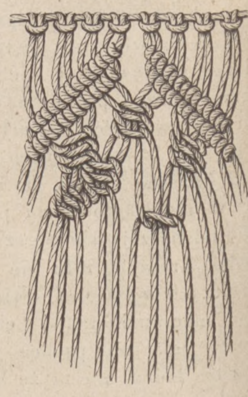
N. 7. Wiązanie nitek dodatkowych dla sutości frendzli do r. 9.



N. 12. Kapotka z gładko plecionej słomki.



N. 14. Kapotka słomkowa z denkiem i rondem ażurowem.



N. 8. Robota węzłów plecionych do ryc. 5.



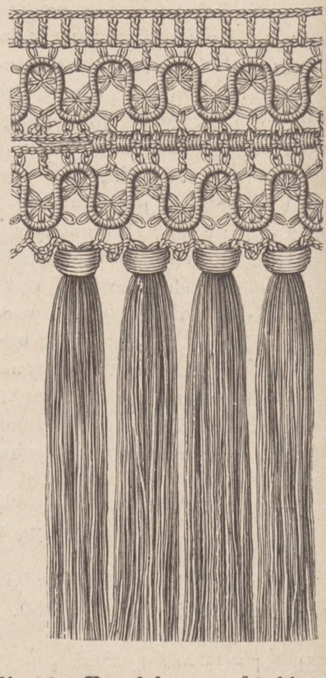
N. 13. Kapotka z koronki słomkowej.



N. 16. Dywanik. Haft pluszowy i robota krzyżowa. Zobaczyć wzory na ryc. 41 i 42 w N. 21.

N. 31 i ryc. 20 w N. 21. Suknia strojna *pompadour*, z atłasu deseniowego i gładkiego aksamitu.

Tak mięszaniną kolorów i materyałów jak i fasonem, suknia ta przypomina ubrania dworskie z czasów Ludwika XIV i XV. Do tamtej epoki należy stanik obcisły z baskiną frakową z tyłu, z szerokim kołnierzem i sutem szmizetkowem ubraniem przodów, z kamizelką aksamitną, której dłu ga odcinana baskina, na modelu, była naszyta wprost na spódnicy, a wązkie górne części dodane były do przodu stanika. Ryc. 20 w N. 21 przedstawia przód sukni, odrobionej z atłasu gładkiego oliwkowego, z atłasu deseniowego ciemno-bordo i z aksamitu niebieskawo-fijołkowego. Spódnica u dołu oszyta była plisowaniem bordo, którego jaskrawy kolor przysłaniała z wierzchu naszyta 8 cent. szeroka koronka czarna, na którą cokolwiek zachodziło drugie 25 cent. plisowanie z jasno-oliwkowego atłasu. Tunikowa draperya, zwykłego spódniczkowego kroju, w górze z przodu 40 cent. od paska, odwracanym sposobem przyszyta, z boków w głębokie fałdy podpięta, podchodzi pod długi bryt tylny, z boków atłasem bordo podszyty, wachlarzowo zfałdowany i na baskinę kamizelki zachodzący. Przyozdobienie bryta stanowi 8 cent. szeroki pasek aksamitu podszyty atłasem bordo, w górze pod baskiną fraka kokardą zakończony. Szeroki kołnierz i mankiety przy rękawach aksamitne.



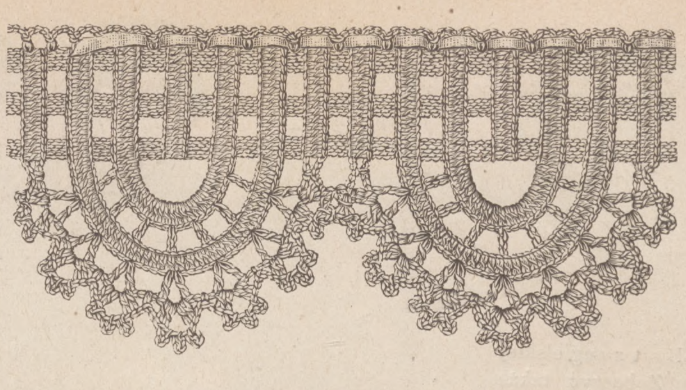
N. 10. Frendzla z nagłówkiem z mignardisse i roboty szydełkowej.



N. 15. Kapelusz kapotkowy ozdobiony wisiadłami z paciorków słomkowych.

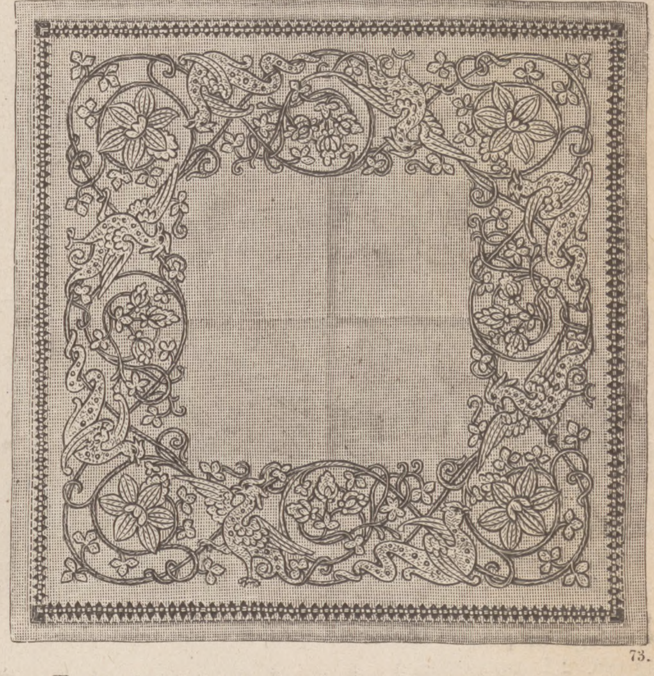
N. 32—33 i ryc. 21 w N. 21. Suknia pompadour z atłasu w duży rzucik i z surah do cieniu.

Najświeższą nowość stanowią obecnie materye cieniowane od najciemniejszego do najjaśniejszego odcieniu, nie tylko



N. 17. Koronka szydełkowa do ryc. 16 w N. 21.

jednym ale nawet w dwóch kolorach, tęczowo schodzących się z sobą, a następnie powtarzanych. Model ryc. 32 odrobiony był „*Satin chiné*" w duży rzucik i z materyi surah cieniowanego w kolorze bronzowym. Do tych drogich materyałów używane są jako garnirunek, koronki bretońskie plisowane i przymarszczone. Przybranie spódnicy stanowi bufa, 32 cent. szeroka, u dołu wązkiem plisowaniem zakończona, w górze w kontrafałdy ułożona. Na brycie przednim poprzecznie przymarszczonym, tunika w górze trochę z boku jedną częścią na drugą założona, jest od dołu otwarta. Stanik odznaczający się niezwykłem upięciem baskiny, podług zwykłej, dobrej formy dopasowany, z przodu mocno podłużnie wycięty, dopełniony jest żabotem z fałdowanej, cieniowanej materyi, która w pasie jest zmarszczona i dwoma agrafami przepięta, dalej stanowi draperyę *à panier* kończącą się pod baskiną pleców. Ta baskina jak to widzimy na ryc. 21 w N. 21, upięta jest nakształt szarfy u dołu przemarszczonej i w bufę ułożonej, a końcami na bryt tylny zachodzącej. Rękawy do łokcia ozdobione podwójnemi ranwersami. Wykrój pod szyją oszyty paskiem przemarszczanym. Ryc. 33 przedstawia model i miary draperyi i baskiny przy pleckach.



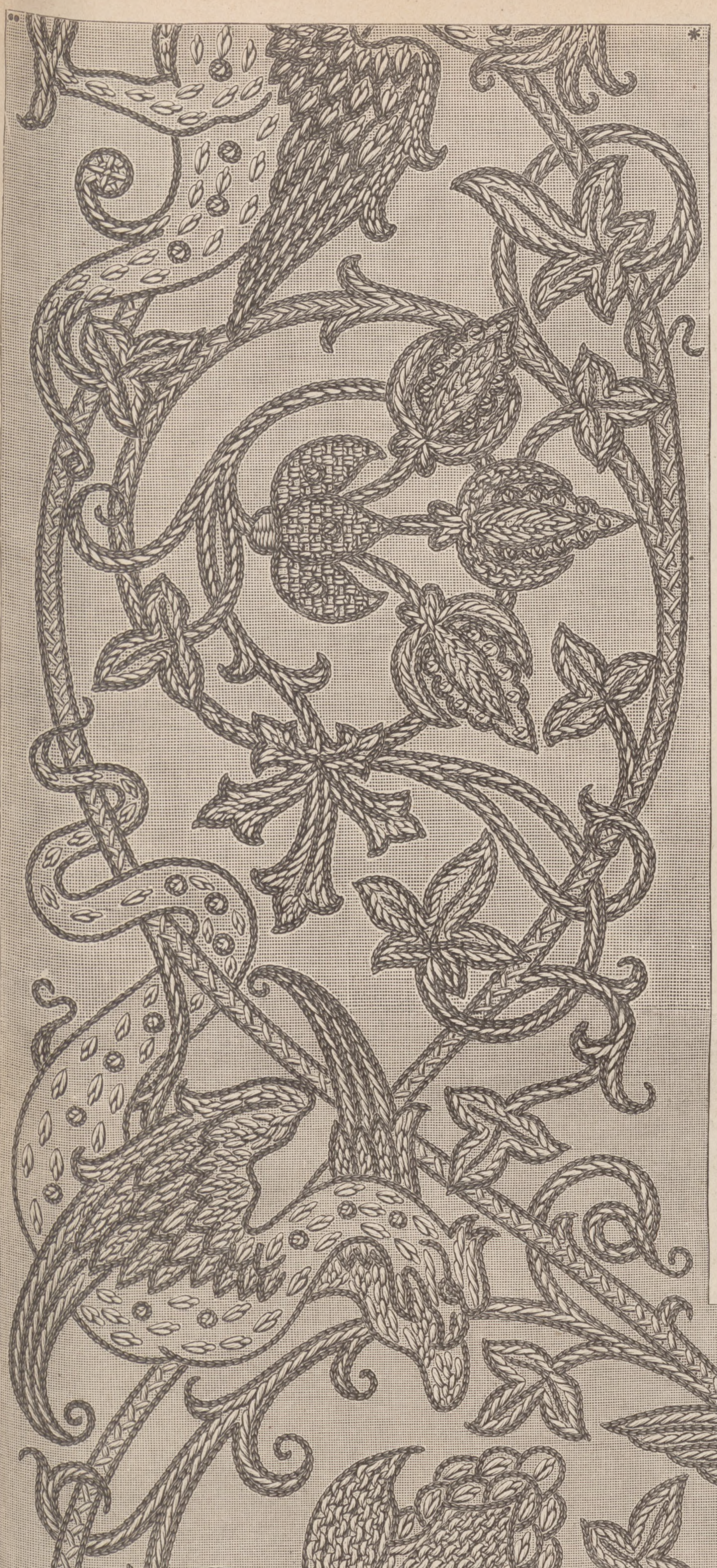
73.

N. 18. Serweta. Haft w starodawnym guście. Zobaczyć część deseniu w naturalnej wielkości, na ryc. 19.

Opis do N-ru 21.

N. 1. Żabot przepięty szpilką.

Skośny kawałek blado-niebieskiej materyi surah 60 cent. długi, u dołu ścięty w ząb, u góry 27 cent. szeroki, jest z jednego brzegu przez całą długość, z dru-



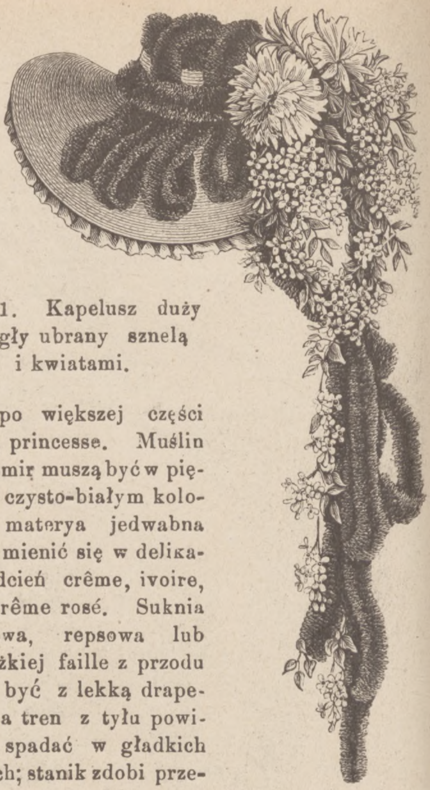

N. 19. Deseń z oznaczeniem rodzai ściegów, do ryc. 18.



N. 20. Biret z angielskiej słomki. Zobaczyć także ryc. 54 w N. 21.



N. 22—23. Dwa ubrania dziecinne z bluzkami.



N. 21. Kapelusz duży okrągły ubrany sznelą i kwiatami.

...giego tylko na 28 cent. oszyty koronką, lekko namarszczoną 5 cent. szeroką. Złożenie żabotu na podstawie ze sztywnego tiulu, wskazuje ryc. 1, podług której żabot przepina się szpilką z dużą perłową główką.

N. 2. Żabot z przemarszczeniem.

Ułożony jest z kawałka żółtawej materyi surah 15 c. szerokiego, a 48 długiego, z trzech stron oszytego koronką d'Alençon, 8 cent. szeroką. Materyę w odstępie 28 cent. od brzegu dolnego przemarszcza się kilkakrotnie, do 4 cent długości, podług ryc. 2 i przyczepia do kawałka sztywnego tiulu; 10 cent. niżej przemarszczenia pozostały koniec przepięty jest poprzecznie węzłem z materyi.



N. 24. Pół-girlandki z maków i liści, do ubrania kapelusza.



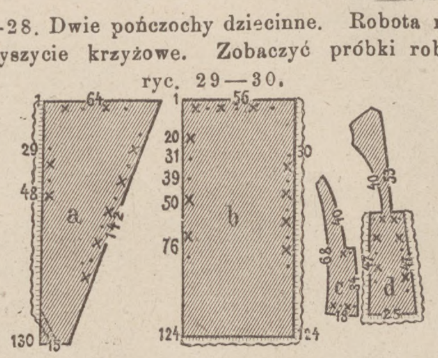
N. 25. Ubranie do kapelusza z róż różnokolorowych i bzu czarnego.



N. 26. Kitka do kapelusza z piór fryzowanych, frendzli sznelowych i piór czaplich.



N. 27—28. Dwie pończochy dziecinne. Robota na drutach i wyszycie krzyżowe. Zobaczyć próbki roboty na ryc. 29—30.



N. 33. Model i miary draperyi tunikowej i tylnej baskiny stanika do 32 i ryc. 21 w N. 21.

N. 3—12. Ubrania ślubne i dla gości weselnych.

Całą stronę dzisiejszego numeru poświęciliśmy na przedstawienie toalet weselnych i ubrania do ślubu, do srebrnego i do złotego wesela.

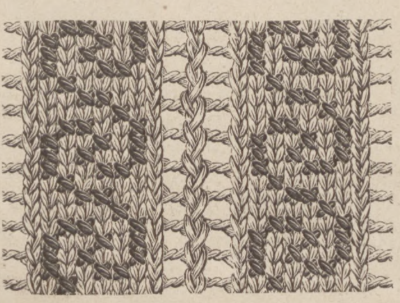
Im panna młoda jest młodszą, tem ubranie ślubne powinno być skromniejsze i niepretensjonalne, z materyałów lekkich, powiewnych, między któremi cieniutki muślin indyjski pierwsze zajmuje miejsce. Lekkie suknie zdobią się bufkami i falbankami, z materyałów zaś cięższych szyją się gładko, po większej części formą princesse. Muślin i kaszmir muszą być w pięknym czysto-białym kolorze, materya jedwabna może mienić się w delikatny odcień crême, ivoire, lub crême rosé. Suknia atłasowa, repsowa lub z ciężkiej faille z przodu może być z lekką draperyą, a tren z tyłu powinien spadać w gładkich fałdach; stanik zdobi przemarszczanie, fałdowanie lub innego rodzaju plastron.

Odpowiednio do wieku panny młodej zmienia się materyał, odrobienie i wytworność przybrania; materye deseniowe, jak: adamaszek, brokatela lub aksamit, stosowne są dla wdów stających powtórnie przed ołtarzem.

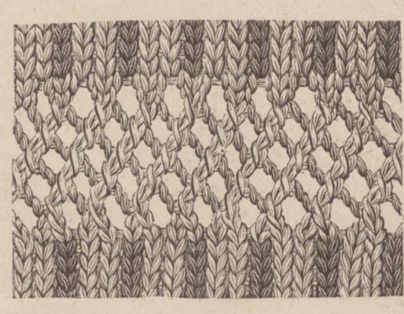
(*d. n.*)



N. 31. Ubranie „Pompadour" z atlasu deseniowego, gładkiego i aksamitu.



N. 29. Próbka roboty do pończochy ryc. 27. Pasy ażurowe i gładkie wyszyte krzyżykami.



N. 30. Próbka do pończochy ryc. 28. Pasy poprzeczne ażurowe i gładkie w dwóch kolorach.



N. 32. Ubranie „Pompadour" z atlasu w duże kwiaty i surah cieniowanego.



Pl. 464.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.